№ 52. Warszawa, dnia 25 (13) Grudnia 1886 r. Rok VI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2 k. 50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ:

Na rok 1887.

Wydawnictwo nasze rozszerzy swój zakres bez podniesienia ceny prenumeracyjnej. Oprócz dodatków kwartalnych, abonenci nasi otrzymają drugi dodatek, mianowicie:

Historyę wieku XIX.

Będą to z poważnych źródeł poczerpnięte i przedmiotowo zarysowane dzieje: polityczne, społeczne i umysłowe naszego stulecia aż po rok bieżący. Bez przesady rzec można, że wiek XIX jest ogółowi najmniej znany, gdyż na jego progu zatrzymują się i wykłady szkolne i zwyczajne podręczniki. To też ludzie, którzy bądź nie byli współczesnymi świadkami zdarzeń tego okresu, bądź nie badali ich starannie, co chwila potykają się o nieznajomość ich. Książka nasza, przedstawiwszy w treściwym i wyrazistym obrazie ostatni rozdział historyi nowożytnej, którego wypadki odbijają się ciągle echem w naszem życiu i wiążą się z jego biegiem obecnym, zaspokoi, jak mniemamy, ważną potrzebę. Zawierać ona będzie około 40 arkuszy druku, a wyjdzie w dwu częściach. Pierwszą, 25, otrzymają abonenci, którzy prenumerowali **Prawdę** *przez rok cały*, przy końcu grudnia 1887, a drugą, tj. arkuszy 15, abonenci, którzy prenumerowali pismo nasze przez półrocze 1888 r. Będzie to więc dodatek *półtoraroczny*.

Dając rocznie 78 arkuszy tygodnika, 24 arkusze dodatku kwartalnego (*Społeczeństwa zwierzęce*) i 25 nadzwyczajnego (*Historya XIX w.*), *razem 127 arkuszy* druku za rs. 8, sądzimy, że nam wolno nazwać pismo nasze *taniem*.

Dla ułatwienia nowym abonentom możności nabycia dodatków dawniejszych, cenę ich, która w handlu księgarskim pozostaje niezmienioną, zniżamy do połowy, mianowicie:

Pypin: *Kwestya polska*	rs. 1	dla abonentów	k. 50
J. Brandes: *Główne prądy literatury XIX w.* t. 4	rs. 6	„ „	3 rs.
Ekonomia polityczna	rs. 3	„ „	1 k. 50
Liard: *Logika* . .	rs. 1	„ „	k. 50
Espinas: *Społeczeństwa zwierzęce* (dwa zesz.)	rs. 1	„ „	k. 50

Na przesyłkę pocztową do każdego rubla dołączyć należy kop. 15.

Na początku roku przyszłego nakładem naszym wyjdzie słynne dzieło badacza amerykańskiego Morgana

SPOŁECZEŃSTWO PIERWOTNE

czyli badanie postępu ludzkości od dzikości przez barbarzyństwo do cywilizacyi.

Dziś, kiedy dzieło to (chociaż dotąd, o ile nam wiadomo, na żaden język z oryginału nieprzełożone), zostało wyczerpane w handlu i w nauce, wyzyskane jawnie i okradzione tajemnie, kiedy z niego jak z bogatej kopalni wydobyto i obrobiono wiele faktów nieznanych i prawd nowych, zyskało ono rozgłos szeroki i wieniec pośmiertnej sławy dla autora. Bo też może żadna książka w tej mierze nie rozjaśniła dróg pochodu ludzkości od najpierwotniejszych jej stanów aż do wyżyn cywilizacyi obecnej.

Dzieło to w prenumeracie kosztuje rs. 3 (z przesyłką rs. 3 kop. 30), po wyjściu rs. 4.

Prosimy o wczesne nadsyłanie przedpłaty.

Do dzisiejszego numeru dołącza się dodatek kwartalny.

POLITYKA.

CIĘŻKI SPADEK.

W dziwnem stadyum kończący się rok przekazuje następcy najważniejszą swą sprawę — bułgarską. Już nietylko, czem ona się rozwiąże, ale na czem stanęła nikt nie wie. Jak uznają pisma rosyjskie, są w niej dwie strony: Rosya od początku odmawiająca prawności zarówno mianowaniu regentów, jak i wyborom „sobrania," oraz działaniom obu tych władz—a naprzeciwko niej całkiem zamaskowane lub częściowo odsłonięte w swych zamiarach i robotach mocarstwa zainteresowane w losach półwyspu Bałkańskiego. Na boku stoją mniej lub więcej świadkowie, gotowi wyjść z obojętności dopiero w wypadku orężnego starcia. Wrzecionem, na które nawijają się obecnie wszystkie trudności, jest wynalezienie kandydata do korony bułgarskiej, któryby odpowiadał życzeniom wszechstronnym. Wywody gazet są tylko dalekiem echem głosów i prac dyplomatycznych, trudno więc nieraz zrozumieć, co ono odbija. Wydaje się jednak przypuszczeniem prawdopodobnem, że takzwane „stanowiska wyczekujące" i „zgody z zastrzeżeniami" musiały zawierać w sobie opór stanowczy niektórych państw,

zwłaszcza Anglii i Austryi, skoro książę Mingrelski, przez pewien czas zalecany i wskazywany jako przyszły władca Bułgaryi, ustąpił miejsca innemu — księciu Koburskiemu. Niedługo tułała się po dziennikach wieść, że ten kandydat zyskuje wszystkie mocarstwa łącznie z Rosyą. Zaledwie bowiem wyprowadzono go na arenę, *Journ. de St. Petersb.* oświadczył stanowczo, że „tej kandydatury nie można brać na seryo."

W tej chwili zatem tron bułgarski nie ma żadnego kandydata a cała sprawa, obiegłszy błędne koło, wróciła do punktu wyjścia. Nie rozrywa tego koła i nie rozgina go w linię prostą podróż deputacyi sofijskiej, ktorej plan skrzyżowała niespodzianka. W Wiedniu nie przyjęto deputatów urzędownie, ale przyjęto ich tylo razy i tak gościnnie, że mogli oni liczyć na powodzenie w dalszej wyprawie a zwłaszcza na względy w Berlinie. Tymczasem zanim zdążyli wyjechać z Wiednia, telegraf rozniósł po świecie znaczący artykuł *Prawit. Wiestnika*, w którym urzędownie zaprzeczono o naruszeniu się przyjaznych stosunków między Rosyą a Niemcami i sprostowano błędne objaśnienia tych stosunków przez prasę rosyjską. Rząd niemiecki, zawsze i przedewszystkiem dyplomatyczny, niezawodnie z tem oświadczeniem się policzy i oziębi swoją, zresztą bardzo chłodną sympatyę dla bułgarów. Już widzimy wyraźne tego dowody. Przed ukazaniem się artykułu *Praw. Wiestnika* nawet półurzędowe organy pruskie zapewniały, że chociaż deputacya nie będzie przyjętą urzędownie i zbiorowo, Bismark syn, a może i ojciec da jej członkom posłuchanie prywatne. Teraz wprawdzie nie zabroniono jej przyjechać do Berlina, ale znacznie niżej zsunięto adresy osób, które ona może odwiedzić; mianowicie pozwolono jej zameldować się u wyższych i niższych urzędników w ministeryum spraw zagranicznych. Że zaś Berlin wytrwa, przynajmniej zewnętrznie, w tej postawie — to nie ulega wątpliwości.

Przypuściwszy więc, że wysłańcy bułgarscy, złożywszy wizytę „jakiemuś urzędnikowi niemieckiego ministeryum spraw zagranicznych," pojadą dalej, do Anglii i tam naczerpią pełne uszy ubolewań i zachęt, wszystko to razem ani na włos ich sprawy nie posunie, ani jednego węzełka w splątanem pasmie kwestyi wschodniej nie rozwiąże. Pasmo to powróci do rąk dyplomacyi i ona z niego przyszłość Bułgaryi usnuje. Jaką — w tej chwili nikt nie wie. Przyznają tylko i czują wszyscy, że będzie to jeden z najtwardszych do zgryzienia orzechów, że rok przyszły otrzyma po bieżącym w spadku zadanie trudne.

Jest to bardzo naturalnem, że pojmując tę trudność i jej źródła, świat baczniejszą zwraca uwagę na ruchy dyplomatyczne i polityczne mocarstw, niż na żebraczą wędrówkę deputacyi bułgarskiej; ciekawość ogólna nie wyrzeka się wiadomości szczegółowych o podróży tego orszaku, ale przedewszystkiem bada prądy górne, płynące i krzyżujące się w tych sferach, od których zależą losy padołu. Wobec zaś niepewności obliczeń tej meteorologii, najlepiej wróży ten, kto nie wróży wcale.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Najwydatniejszym faktem politycznym w ubiegłym tygodniu był komunikat, wydrukowany w *Gońcu urzędowym*, upominaupominający prasę rosyjską, aby w roztrząsaniach, wywołanych sprawą bułgarską, nie wskazywała Niemiec, jako tajemnego wroga Rosyi, gdyż stosunki z tem państwem dawno się utrwaliły, niejedną wytrzymały próbę, ugruntowane są na wielu żywotnych interesach. „Mając stanowczy zamiar, tak jak dawniej, postępować z należnemi względami dla czysto niemieckich interesow, rząd Cesarski ma wszelką zasadę tuszyć sobie, że i Niemcy będą się powstrzymywały od wszelkich czynów, mogących naruszyć zarówno godność Rosyi, jak i interesy, jakie się wytworzyły wskutek historycznych stosunków do wschodnich współwyznawców i że wpływ ich skierowany będzie tylko ku podtrzymaniu powszechnego pokoju, którego Europa potrzebuje i który jest także przedmiotem najgorętszych pragnień Cesarza rosyjskiego i jego narodu." W końcu dokument rzeczony raz jeszcze gani „gwałtowność i pospieszność zdań, wypowiadanych przez organa prasy, której głos nie jest bez wszelkiego znaczenia w stosunkach międzynarodowych."

Nietylko prasa rosyjska znalazła dla siebie przestrogę w słowach powyższych. Niemcy mogły się doczytać w nich warunku, pod jakim Rosya uwzględniać będzie ich interesy specyalne. Austryę niewątpliwie zainteresowało pominięcie jej milczeniem. Francya znalazła dowód, że dziś jeszcze przymierze z nią zamało rękojmi trwałości przedstawia, aby je miano przekładać nad sojusz Niemiec, szanujących godność i interesy Rosyi. Pokojowa nuta, w komunikacie dźwięcząca, nie ułatwia wyjednania kredytów na powiększenie wojsk niemieckich. Pocóż to powiększenie, jeśli potężny sąsiad wschodni najgoręcej pragnie pokoju, a zachodni o wyzwaniu na pojedynek dziś przynajmniej nie myśli? Więc też dzienniki niemieckie ze źle udawanem zadowoleniem przyjęły do wiadomości zawarte w komunikacie *ad intende.*

Austrya wysunęła cichaczem kandydaturę księcia Ferdynanda Koburskiego na tron bułgarski. Porucznik wojsk austryackich, syn generała tychże wojsk, spokrewniony z dworami austryackim, angielskim, tak mało mógł mieć widoków na życzliwe ze strony Rosyi przyjęcie, iż dziwić się należy naiwności projektodawców. Jakoż niebawem *Journ. de St. Pétersb.* rozwiał wszelkie co do tego złudzenia i kandydatura upadła odrazu. Winę podniesie-

---

ASBE.

Lotny płyn nocy, napełniający przestrzeń, powoli ustawał się, a ciemne jego męty opadały na dno ziemi, skupione w jej załomach i zgięciach. Pokrywa nieba wklęsła głębiej, wchłonęła gwiazdy, tylko na wschodnim brzegu obwiodła się szerokim łukiem światła. Mroki rzedniały z każdą chwilą, widnokrąg pokrywał się coraz jaśniejszymi płatami, ze ścian i dachów tebańskich noc ściągała swój całun, Nil chwytał pierwsze blaski dnia i roziskrzał je w swych drobnych falach, piramidy zrzuciły ciemne i przywdziały szare opony a pustynia, jak olbrzymia łysina globu, ukazała zdala swą żółtość. Po wilgotnem powietrzu rozpływały się ryki bydła, wypuszczonego na pastwiska, przeciągłe wołania ludzkie i drobne świergoty ptaków. Liście drżały, uczuwszy powiewy cieplejsze, kwiaty, skąpane w rosie, gotowały się do powitania słońca wonnemi kadzidłami swych barwnych kielichów.

Asbe wstała wcześniej niż zwykle, wcześniej niż przepiórka. Jeszcze gwiazdy nie potonęły w morzu niebieskiem a księżyc nie zgasił swej nocnej latarni, jeszcze ani jeden promień nie ogłosił narodzin dnia, kiedy ona już opuściła łoże bezsenności i wybiegła przed dom oblać się chłodem poranku. Bezpieczną była jej nagość w osłonie gęstych cieniów. Choć gwiazdy rozszerzyły swe źrenice, nie dojrzały ani śnieżnych półkul jej piersi, ani kształtnie wykrojonej kibici, ani wdzięcznie zagiętych bioder, ani nóg opartych na stopkach zgrabnych. Tylko leciuchny wietrzyk czasem w przelocie popieścił jej liliowe ciało i uciekł upojony rozkoszą tych pocałunków.

Asbe posłała niespokojny wzrok ku wschodowi. Od stropu nieba oderwał się meteor i przeleciał ognistą smugą: ona drgnęła, obrzuciła piersi zwojami długich, czarnych włosów, wbiegła do sypialni, usiadła na łóżku i ukryła twarz w dłoniach. Przez szpary różowych jej palców wkrótce pociekły łzy rzęsiste. Bo jeśli ją i ten ratunek zawiedzie?

Gdy czcigodny wół, zanim go jako bóstwo wprowadzono do świątyni, pasł się swobodnie przez dni czterdzieści i wtedy wolno było kobietom obnażonym zanosić do niego prośby, Asbe przezwyciężyła wstyd niewieści, uległa rodzicom, poszła na łąkę, opuściła szaty i ukazała swe piękne ciało Apisowi. Wół spojrzał na nią, dotknął językiem jej piersi i odszedł, a chociaż już od miesiąca jest bogiem, nie dopomógł nieszczęśliwej.

Radziła się czarodzieja, który kazał jej zjeść suszone ucho nietoperza, wypić w piołunowym soku rozpuszczony proszek zęba krokodylowego — co spełniła, wreszcie służyć mu więle przez całą młodość— czego spełnić nie chciała.

Teraz z sercem rozpiętem na smutku i obawie po raz trzeci wyczekiwała cudu, który miał ją uzdrowić.

Asbe bowiem była — niemą.

*
* *

U północnej krawędzi Teb, przodem ku pustyni zwrócony, siedział na kamiennym tronie kamienny Memnon, syn Jutrzenki (Aurory), zabity w wojnie trojańskiej. Trzęsienie ziemi zgruchotało jego posąg, ale nadało mu życie. Codziennie bowiem, uderzony promieniami wschodzącego słońca, wydaje dźwięczne tony, zlewające się w pieśń rzewną i uroczystą. Stara wróżka, która przypadkiem podsłuchała raz tę melodyę i odczuła jej siłę szczególną, odgadła, że gdyby niemi przyłożyli usta do statuy w chwili jej brzmienia, odzyskaliby mowę.

Asbe całą duszę napełniła tą wiarą. Ledwie zapłakanemi oczami spostrzegła pierwsze smugi brzasku, wrzuciła na siebie białą tunikę, przepasała się jedwabnym sznurem i wyszła spiesznie. Odblaski księżycowe nie lżej od jej stóp przesuwały się po płytach chodników. Między płowymi murami przebiegła całe miasto. Gdy odbite od nich światła padły na jej twarz wszystkimi urokami piękną, ukazały gorączkowe migotanie oczu, pod którymi rumieniec mieszał się szybko z bladością, jak płomień z białym dymem. Stanęła—a niemając słuchu, puściła czujny wzrok na zwiady. Około posągu Memnona jakaś

nia jej złożono na... deputacyę bułgarską. Nieszczęśliwa ta deputacya pojechała obecnie do Berlina, gdzie członków jej przyjmuje po jednemu i nieurzędownie hr. Herbert Bismark i udziela im lekcyj uległości dla Rosyi. Hr. Szuwałow, ambasador rosyjski w Berlinie, przyjąć ich nawet nie chciał, mimo że się zgłaszali dwukrotnie. Z kolei wybierają się do Londynu.

Członkowie angielskiej Izby gmin: Dillon, O'Brien, Harris i Sneehey aresztowani zostali w hrabstwie Galway pod zarzutem nakłaniania dzierżawców do niepłacenia czynszu; wypuszczono ich na wolność za kaucyą. Rada ministrów zamierza podobno rozwiązać ligę rolną irlandzką.

Komisya parlamentarna pruska, mająca roztrząsać projekt prawa o powiększeniu etatu wojskowego, uchwaliła podniesienie stopy pokojowej do 450,000 ludzi, zamiast żądanej liczby 468,000. Nadto powtórne czytanie odłożyła na czas późniejszy, mimo przynaglania ze strony ministra o pośpiech. Nic też dziwnego, że sekretarz stanu Boetticher wyraził niezadowolenie cesarza Wilhelma z takiego zachowania się komisyi. Gdyby dalsze zwłoki uniemożliwiły wprowadzenie powiększenia od 1 kwietnia roku przyszłego, to prawdopodobnie parlament zostanie rozwiązany i nowe wybory będą rozpisane. Flota niemiecka zajęła wyspy archipelagu Salomona. Zatarg niemców z sułtanem Zanzibaru o terytoryum na wschodniem wybrzeżu Afryki, gdzie chcieli port urządzić, rozstrzygnięty został na ich niekorzyść przez delegatów Anglii, Francyi i Niemiec.

We Frankfurcie nad Menem i jego okręgu, tudzież w okręgach Hanau, Höchst i Obertaunus ogłoszony został z rozporządzenia ministeryalnego mały stan oblężenia.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z NIEMIEC.

II.

Drezno, listopad, 1886.

Doktór Obrzut o metodzie Pasteura. — Saint-Sère o Niemczech. — Wróg kobiet. — Nowe czasopismo niemieckie. — Zbiór pieśni litewskich. — Koncert Mierzwińskiego.

Wybaczy mi czytelnik, że, nie będąc specyalistą, pozwolę sobie list dzisiejszy rozpocząć od medycyny. Naprzód, że chodzi tu o leczenie wścieklizny, więc o sprawę niezmiernie wszystkich obchodzącą; powtóre, że cokolwiek powiem, to będzie wiernem echem słów dobrego rzeczoznawcy; jego też powagą się zasłaniam, wyrażając tu zdanie nieco odmienne od poglądu optymistycznego, który wyczytałem w artykule dra Bujwida (w n-rze 50 *Prawdy*)*).

Rodak nasz, dr Andrzej Obrzut, pierwszy asystent katedry anatomii patologicznej na wszechnicy czeskiej w Pradze, zarazem przewodniczący *Ogniska polskiego* w tem mieście, w listopadzie r. b. odbył wycieczkę do Paryża, wydelegowany przez szefa swojego i stowarzyszenie *Alliance française* w Pradze, w celu zbadania metody ochronnej leczenia wścieklizny, przez Pasteura praktykowanej. Z odczytu jego, wygłoszonego zaraz po powrocie, na posiedzeniu Towarzystwa lekarzy czeskich w Pradze, 8 listopada r. b., wyjmuję najważniejsze ustępy, odsyłając specyalistów do samej prelekcyi.

Wiadomo, że Pasteur, po licznych próbach szczepienia wścieklizny, dokonywanych na zwierzętach, rozpoczął to samo na ludziach (w połowie r. 1885), usprawiedliwiając krok ten bohaterski dowodem, iż mu się powiodło przedtem uczynić *zabezpieczonymi* od zarazy pięćdziesiąt psów niepokąsanych i znaczną ich liczbę po pokąsaniu. „Ale tej *znacznej liczby* i okoliczności, towarzyszących leczeniu (powiada dr O.), dotychczas nie wymienił i tu właśnie jest słaba strona i luka w teoryi Pasteura.“

Mimo to, jak wiadomo, zaszczepił on jad ochronny, w ciągu dwóch lat ostatnich, półtrzecia tysiącom ludzi, z których umarło tylko siedmnastu (po 22 października r. b.).

Statystyka ta przemawiałaby za metodą Pasteura. Ale na jej niekorzyść zważyć trzeba następne okoliczności. Najwięcej pacyentów dostarczył Pasteurowi Paryż, gdzie psy nie noszą kagańców, przeto kąsają nietylko będąc wściekłymi, ale i po prostu ze złości. Że zaś ludzie ukąszeni łatwo sobie wyobrażają, iż psy napastujące ich, są wściekłymi i uciekają się zaraz do zakładu Pasteura, a tam natychmiast szczepią im jad ochronny, przeto znaczna liczba pacyentów, którzy wyzdrowieli, niczego jeszcze nie dowodzi, bo ogromna część ich mogła uledz pokąsaniu przez zwierzęta wcale nie chore na wściekliznę.

Drugą okolicznością jest to, iż osoby, którym zaszczepiają jad wścieklizny bardzo świeży, np. wczorajszy (co równa się pokąsaniu przez wściekłe zwierzęta), zupełnie są zdrowe. „Otóż niejednemu, powiada pan O., wobec tajemnicy, otaczającej dotąd naturę zarazku, przychodzi straszna myśl, iż wszyscy, którym Pasteur go wszczepia, wściec się mogą później, bo wiadomo przecież, iż nieraz po kilku latach dopiero jad okazywał swe skutki.“

Odpierając możebne zarzuty, Pasteur przemawiał 2 listopada, na posiedzeniu Akademii lekarskiej w Paryżu; ale i tym razem dokładnej statystyki nie podał i mówił tylko o doświadczeniach nad zwierzętami.

Zważywszy to wszystko, dr Obrzut myśli, że ani szczepienie ochronne wścieklizny wszystkim ludziom (jak np. ospy), ani też zakładanie na ten cel instytutów, nie wynika tymczasem z konieczności przez naukę wskazanej; że potrzeba będzie jeszcze mnóstwa doświadczeń na zwierzętach, zanim teorya Pasteura uzyska pewność przekonywającą i da się stosować bez obawy do ludzi, dotychczas bowiem jest ona czystą empiryką. „Mam nadzieję — kończy dr O. — że nie zasłużę na nazwę *ciemnego bluźniercy*, którą p. Verneuil na posiedzeniu akademii napiętnował wszystkich wątpiących, gdyż przejęty będąc szczerem uznaniem dla usiłowań Pasteura, należę na to jedynie, aby doświadczenia jego pomnożono i dopełniono. Pocieszajmy się myślą, że sam Pasteur nie da upaść własnej swej sprawie.“ *).

*) Patrz nr 46 *Czasopisu lekarzy czeskich*, art. dra Obrzuta.

*) Ale ostatecznie nie można tych doświadczeń „mnożyć“ inaczej, niż to robi Pasteur, to jest szczepić jad ochronny ludziom, zwłaszcza że oni, pozostając bez ratunku, nie narażają się na żadne ryzyko. *Red.*

---

ciężka postać krążyła wolnym krokiem — to jeden z kapłanów odbywał straż poranną dla religijnego uczczenia tajemniczych brzmień statuy.

Asbe wiedziała, że jego obecność zabrania tu kobietom jawić się, ale nieustraszona i zwinna jak lwica podeszła niepostrzeżenie do podstawy olbrzyma tajemniczego, na którego czarnem tle jej biała szata odkreśliła się jak szmat pleśni.

Kapłan modlił się szeptem:

— Fra, ojcze i królu bogów, władco obu światów, który tronujesz w tarczy słonecznej, a niebem i ziemią rządzisz, przez szybkoskrzydłego krogulca i ognistego byka, przez wszystko, co umiłowałeś i łaską swą darzysz, błagam cię, pobłogosław dzień rodzący się, otwórz dla niego swą pełną dobrodziejstw rękę. Niech cię sławi czas nieskończony, niech cię sławi przestrzeń niezmierzona, niech zbraknie powietrza wargom, które chwały twojej nie powtórzą.

— Ozyrysie, synu wieczności, rozpostartej od początku do końca świata, pomnóż ziarna plonów, zasil suche piaski wodą a wodzie daj żyzność, spraw, ażeby rózga klęsk zakwitła w twej dłoni gałązką pomyślności. Zapomnij ludziom zbrodnie i bluźnierstwa a pamiętaj tylko cnoty i modły.

— Izydo, matko nieba, wstaw się za nami do bogów.

— Knepie, patronie miłosierny, nie dopuść, ażeby sługa twój żył w niedostatku. Już drugi osioł w tym roku mi zdycha. Ach!

Spojrzał w górę, ziewnął i ciszej szeptać zaczął:

— Że bogowie są, głupiec tylko nie wierzy. Ale czy tylu ich jest i jak się dzielą panowaniem — skąd marny rozum ludzki wybadać może? Musi ich być znacznie mniej, niż twierdzą księgi święte, ale jeszcze za mało dla rządzenia ciemnym motłochem.

Umilkł i znowu mówił:

— Słońce zaspało a ten czarny bałwan już chciałby zaśpiewać. Ha, ha, ha — zaśpiewać! Popękał, więc powietrze ocieplone, przepływając żywszym pędem przez jego szpary i szczeliny, wydobywa dźwięki, a tłum mniema, że Memnon odpowiada na pozdrowienie swej matki Jutrzenki. Owszem, niech tak mniema!

Na skłonie wschodnim nieba zmroczona jasność rozwidniła się mocniej i rozpostarła po sklepieniu niebios bladą łunę. Cała natura odetchnęła przebudzona w uśmiechu po snach przyjemnych, a wkrótce wysunęły się powoli promienie korony i czoło słońca.

Asbe, z oczami utkwionemi w tę stronę, przycisnęła mocno usta do posągu. Zdawało jej się, że drgnął kilkakrotnie. Z początku nie słyszała nic, nareszcie w uszach jej zaczęły brzmieć coraz wyraziściej czarowne tony, które wrzącymi strumieniami rozlewały się po jej ciele. Ucichły, ale ona słyszała — słyszała!

Olśniona szczęściem, niepewna cudu, przerażona zwątpieniem, zerwała się z ziemi i krzyknęła:

— Memnonie!

Istotnie — przemówiła.

Kapłan osłupiał: spojrzał na nią zdumiony, spuścił kaptur na głowę i odszedł przyspieszonym krokiem.

Asbe szalona zachwytem biegła do domu, a oczy jej łzami okroplone skrzyły się jak dyamenty w oprawie pereł.

*

* *

Pierwszy raz dnia tego pozdrowiła matkę słowami. Wkrótce cała rodzina, uwiadomiona o cudzie, zgromadziła się w zdziwieniu i weselu. Pomału wszakże, gdy wypito wspólnie pełen kielich radości, uczuto gorzkawy jej posmak. Asbe złamała przepisy religijne, ukazując się wobec kapłana, popełniła grzech niesławy kobiecej, idąc do statuy w porze nocnej.

— Tego ci obrażony bóg nie przebaczy, gdyby nawet kapłan odpuścił — rzekła matka a za nią powtórzyli krewni.

Strapiona Asbe odeszła do swej komnatki, gdzie po krótkiem rozmyślaniu oddała się wzruszeniom swego szczęścia. Co chwila, jak rosa na igiełkach modrzewiowych, zwieszały się na jej rzęsach łzy uśmiechnięte.

— Jeśli bogowie uzdrowili mnie, za cóż karać mają?

I znowu badała się, czy jej nie łudzi rojenie zwodne, czy ona rzeczywiście słyszy

Okazuje się więc, iż sprawa ta wcale jeszcze za stanowczo wygraną nie może być poczytywana. Lekarze niemieccy po większej części są jej przeciwnikami; czy z głębokiego przekonania, czy może z nieżyczliwości ku francuzom wogóle, o tem ja sądzić nie mogę. Do nieżyczliwości tej przybył niedawno nowy powód w postaci książki niejakiego pana J. Saint-Sère *) (oczywiście pseudonim, oznaczający „szczerego“); jest on francuzem, który, jak sam powiada, przemieszkał siedm lat w Niemczech, zna dobrze literaturę i życie niemieckie i pisze, nie maczając pióra w miodzie; obdarzony dowcipem prawdziwie francuskim, praży on wszystkie śmieszności i wady nadętych teutonów, nie oszczędza ani ich życia domowego, ani publicznego, ani wielbionej cnoty Thusneld giermańskich, ani okadzanych bożyszcz politycznych i literackich. Niemcy się wściekają, szukają prawdziwego nazwiska autora, czernią jego osobę, utożsamiając ją z jakimś rycerzem przemysłowym w Monachium; ale sama ta ich złość świadczy, że dowcipny francuz trafił w sedno i jeżeli czasem przesadził, to naogół dużo prawdy odsłonił.

Słusznie ktoś powiedział, że probierzem cywilizacyi danego kraju jest poszanowanie praw kobiet. Stany Zjednoczone i Anglia przodują bezsprzecznie postępowi ogólnemu, to też tam i piękniejsza część ludzkości wyższych praw społecznych i towarzyskich używa. To samo widzimy i w krajach romańskich, które, po narodach mowy angielskiej, najwyżej stoją w prawdziwej cywilizacyi. W Niemczech jest o wiele gorzej. Jak w postępie ogólnym, tak i w sprawie równouprawnienia kobiety, niemiec wlecze się powoli w tylnych strażach postępu. Świeżym dowodem tego jest pojawienie się nowego czasopisma, które otwarcie na chorągwi swej wypisuje veto wyzwoleniu niewiast; nazywa się ono *Der Frauenfeind* (Wróg kobiet) wychodzić ma co miesiąc, pod redakcyą F. Grossa w Wiedniu. Zapowiada wprawdzie, iż chce oddziaływać tylko przeciw przesadzonym wymaganiom zwolenników sprawy kobiecej; w gruncie rzeczy jednak, jak widać z pierwszego zeszytu, pragnie, aby na świecie było *jak bywało* i gra na nutę szczerego wstecznictwa.

Nie można tego powiedzieć o drugiem nowem czasopiśmie, na którego czele staje profesor marburski Koch; poświęcone jest ono dziejom porównawczym piśmiennictwa *), a wspierane przez spory zastęp najlepszych sił niemieckich. Zeszyt pierwszy zapełniają rozprawki z zakresu literatury ludowej, ułożone porównawczo i umiejętnie; dział referatów wcale obszerny i wyczerpujący. Zdaje się, że nowe to zbioro-pismo ma wszelkie widoki powodzenia.

Z rzeczy bliżej nas dochodzących godzi się wspomnieć o tylko co ukończonem wydaniu pieśni litewskich z melodyami i przekładem niemieckim **). Część ich wzięta jest ze zbiorów dawniej przez inne osoby ogłoszonych; lecz prawie połowa jest nowych, spisanych przez wydawcę. Wydanie bardzo staranne, przekład wierny; prawdziwie cenny to przyczynek; towarzystwu litewskiemu w Tylży ogłoszenie jego zawdzięczamy.

Poprzedni list mój zakończyłem wiadomością o koncercie Kochańskiej; niechże i dzisiejszy muzyką zawrzeć mi będzie wolno. 7 grudnia byliśmy na koncercie Mierzwińskiego; śpiewał znamienicie, powodzenie miał niesłychane; dość powiedzieć, że ostatnią, nadprogramową pieśń musiał trzy razy wygłaszać. Z bijącem sercem czekaliśmy końca, w nadziei że, jak Kochańska, obdarzy nas piosnką polską... ale czekaliśmy nadaremnie! *Jan Karłowicz.*

*) *L'Allemagne telle qu'elle est*, Paryż, kilka wydań dotychczas.

*) *Zeitschrift für vergleichende Litteraturgeschichte*, Berlin, dwumiesięcznik.

**) *Daina balsai*, Melodieen litauischer Volkslieder, wydał K. Bartsch w Heidelbergu.

BADANIA NAUKOWE.

* DETERMINIZM A WOLNA WOLA.

II.

Wiara jest zjawiskiem umysłowem złożonem. Analiza psychologiczna wykrywa w niem: pierwiastek poznawczy, którym jest pewien określony przedmiot wiedzy, pierwiastek uczuciowy, który ten przedmiot czyni dla nas drogim, niezbędnym dla naszego szczęścia i w końcu pierwiastek woli, którym jest siła wiary, energia i wytrwałość, z jaką dąży ona do urzeczywistnienia siebie. Ta strona stanowi jej cechę najbardziej charakterystyczną. To też słusznie religia chrześciańska powiada: wiara bez uczynków jest martwa. Można też z zupełną słusznością powiedzieć, że wiara jest taką, jaką jest wola. Człowiek, posiadający wolę silną i wytrwałą, bywa zwykle głębokim w swych przekonaniach i stałym: przeciwnie słaby, niezdolny do walki ani z sobą, ani z okolicznościami życia, nie zdobędzie się nigdy na silną wiarę ani w siebie, ani w jakąś zasadę, na taką wiarę, któraby zdolna była wytrzymać próbę życia.

Co rzekliśmy o wierze wogóle, to się ma rozumieć i o wierze w siebie samego, w swe siły: podstawą jej jest wola.

Otóż, chociaż zadatek woli, jako pewien zwrot energii wewnętrznej, zależny od organizacyi fizycznej i umysłowej, człowiek przynosi z sobą na świat, rozwija się ona przecież i urabia dopiero w życiu drogą doświadczenia. Wola w najwyższym swym rozwoju, jako czynność, świadoma celu swego i środków do niego wiodących, jest samodzielnym wyrobem człowieka. Ten ją tylko posiada w całej pełni, kto od dzieciństwa przywykł czuwać nad sobą i zastanawiać się nad swemi pobudkami: kto własną pracą ugruntował w sobie uczucia szlachetne, zdolne w każdej chwili przeważyć w nim niskie chęci i żądze. Kto nauczył się przekładać korzyści dalsze, ale trwałe, nad bezpośrednie, ale przemienne, ten też w miarę doświadczenia swych sił w zwalczaniu siebie samego nabędzie pewności i wiary w potęgę swej woli. Wiara w siebie nie daje się rozróżnić u nikogo. Byłaby to próżna strata czasu i słów, gdyby chciano człowieka, opętanego przez namiętność gwałtowną, skłonić do oparcia się jej za pomocą rad i przedstawień, odwołujących się do wolnej woli, jeżeli w sercu jego wszystkie inne uczucia, równoważące panującą namiętność, przygasły i utraciły

---

i mówi, a tak na przemiany omdlewając w rozpaczy i wybuchając uniesieniem, stanęła wreszcie przed zwierciadłem, jak gdyby na swych ustach zobaczyć chciała widomy ślad cudu. Istotnie przekształcały się: zamiast dwu prążków koralowych, ujrzała odęte i spieczone wargi, okryte korą błonki spękanej. Czyżby posąg oparzył ją przy pocałunku?

Przez cały dzień daremnie szukali jej znajomi i ciekawi: schroniwszy się w ustronie gaju, rozmawiała z sobą. Dopiero przed wieczorem wróciła do domu, ale tak milcząca i wszelkim pytaniom oporna, żelękano się, czy jej powtórnie na język nie padła niemota. Była to obawa płonna. Asbe tylko zamknęła się w sobie i zawarła wszystkie myśli swoje w mocnem postanowieniu, które twarz jej powlekło pozornym spokojem, ale w oczach odbijało pożar serca. Była ona w tych ogniach tak piękną, jak mara szczęścia niedoścignionego.

Gdy noc naciągnęła na niebo swe opony i jeszcze nie zdążyła zapalić gwiazd wszystkich, Asbe wymknęła się z domu i znikła. Ale księżyc dostrzegł ją u podnóża posągu Memnona. Jak podmuch wieczorny, bez szelestu, ledwie potrąciwszy główki ziela, podeszła do statuy i objąwszy ją zachwytnem wejrzeniem, przemówiła:

— Memnonie, dziękuję ci duszą rozrzewnioną, dziękuję życiem nowem, dziękuję wszystkiemi uczuciami, jakie we mnie się rodzą. Natchnij wdzięczność moją wskazaniem ofiary, która by ci miłą była.

I pocałowała czarny kamień.

Posąg poruszył się i jak gdyby głęboko westchnął. Asbe, nie odejmując ust, poczuła, że on się rozgrzewa. Nareszcie usłyszała z góry wołanie:

— Asbe!

Odchyliła się trwożliwie. Głos umilkł, nawet cisza przestała powtarzać jego echo. Kobieta znowu dotknęła posąg ustami — drgnął silnie i zabrzmiał:

— Najmilszą mi ofiara z twoich pocałunków czystych.

Nagłym rzutem wskoczyła Asbe na podstawę posągu, oplotła go ramionami, przytuliła się do niego twarzą i spytała:

— Ty żyjesz, Memnonie?

— Żyję — odrzekł, opasawszy ją kamiennemi rękami — żyję, gdy padają na mnie promienie wschodzącego słońca i gdy mnie całują twoje usta.

Podniósł ją, przycisnął do szerokiej piersi i mówił dalej:

— Cud z cudu się począł. Ja zdjąłem niemotę z twojego języka, ty z mojego serca. Życie krótkie roztrwoniłem na walki, na starcia z wrogami; umarłem w nienawiści, nie w kochaniu. Od czasu jak tu skamieniałem, doznaję tylko każdego poranku wzruszeń, gdy wielka pochodnia natury zapala światło nad ziemią; wtedy myśl moja pozdrawia ją. Dopiero usta twoje tchnęły we mnie miłość. W jej żarze topi się głaz mojego ciała. Tyś mi drugiem słońcem... Tamto mnie oświeca, ty ogrzewasz. Ze wszystkich hołdów, jakie tu odbieram, ze wszystkich uniesień, jakie wywołuję, z całej czci i uwielbień najdroższym mi będzie czar ust twoich. Nie wierz obłudnym kapłanom, którzy wyrabiają bogów dla sprzedawania ich tłumowi i którzy moje tony tłomaczą baśnią; nie wierz bluźniercom, którzy tę pieśń poranną objaśniają szyderczo przeciągiem przez szczeliny kamienia prądów ciepłych, bo ja odbrzmiewam tylko, gdy czoła mojego dotkną promienie światła lub miłości.

Asbe podniosła oczy i ujrzała się w objęciach żywego mężczyzny, który pieścił ją namiętnie.

Pieszczoty te przetrwały aż do pierwszych dnia brzasków.

— Odejdź już, krynico rozkoszy najczystszej — rzekł Memnon, rozwierając swe objęcia i powoli zastygając w głazie— bo na wschodzie zorza jaśnieje. Ja tego miejsca opuścić nie mogę, ale ty przybywaj do mnie, dopóki cię inna miłość nie wstrzyma.

Asbe osunęła się na ziemię i poszła omdlona w słodkiem zamarzeniu. Ocknęła się: na kamiennym tronie siedział kamienny syn Jutrzenki.

Odtąd co wieczór wykradała się z domu, napróżno przez rodzinę pytana i śledzona.

Wreszcie nie badano jej i osądzono, że ją bogowie pokarali, bo z ich obrazą odzyskawszy mowę, z ich gniewnej woli straciła rozum.

W. Okoński.

swą siłę pobudliwą. Kazania i morały nie zdołają wytworzyć w duszy człowieka tego, czego w niej niema, czego on nie przyniósł na świat i nie rozwinął usiłowaniem własnem. Pewność siebie i wiara w swe siły powstaje sama i utrwala się stopniowo w miarę powodzenia naszych usiłowań. Kto po kilkakrotnych wysiłkach woli upadł w walce ze swemi skłonnościami, temu przekonanie czysto teoretyczne o wolności woli nie doda energii i nie rozproszy zwątpienia o sobie samym.

Że doktryna wolnej woli w życiu rzeczywistem nie ma żadnego znaczenia, że jest czynnikiem, który najmniejszego wpływu nie wywiera na rozwój stosunków ludzkich, pokazuje się już z tego, że wszystkie urządzenia społeczne, mające na celu skierować usiłowania jednostek ku zadaniom interesu ogólnego, pomijają ją i postępują tak, jak nakazuje zasada deterministyczna. Wychowanie prywatne i publiczne, praktyki religijne, sądownictwo karne, wewnętrzna polityka państwa, a nareszcie i sama opinia publiczna to jedno tylko mają na celu, ażeby za pomocą nakazów i zakazów, kar i nagród, bądź fizycznych, bądź moralnych, stłumić i wykorzenić w sercach jednostek te pobudki, które się nie zgadzają z zadaniami życia zbiorowego w danej dobie, a natomiast rozbudzić i rozwinąć pobudki, które tym zadaniom sprzyjają. Postępują one więc tak, jak gdyby uznawały, że wola bynajmniej nie jest obojętną na pobudki, że dla tego, ażeby postępowanie człowieka zadość czyniło wymaganiom życia społecznego, potrzeba, by w nim rozwinięte i ustalone były uczucia, które dla tego życia są niezbędne.

Rozpatrzmy teraz drugi zarzut, odnoszący się do odpowiedzialności moralnej człowieka za swe czyny. Jak widzieliśmy, zarzut pierwszy polega na nieznajomości natury ludzkiej; drugi zaś dowodzi takiej samej nieznajomości zasad, stanowiących istotę determinizmu.

Przeciwnicy jego opierają się na tem błędnem rozumowaniu: ponieważ determinizm zaprzecza wolności woli, a zatem podług niego człowiek nie jest wolnym w swem działaniu, co na jedno wychodzi, że jest nieodpowiedzialnym za swe czyny. Tymczasem wielka zachodzi różnica między twierdzeniem, że wola nie jest wolną, a twierdzeniem, że człowiek nie jest wolnym. Człowiek o tyle jest wolny, że od niego zależy uczynić to, co chce, lub nie uczynić; o tyle jest wolnym, że pobudki, któremi się rządzi, są to jego własne przekonania, uczucia i chęci. Wola zaś nie jest wolną, gdyż nie jest obojętną na pobudki i inaczej działa pod wpływem przykrości, a inaczej pod wpływem przyjemności, gdyż nie od niej zależy powstawanie tych lub innych chęci.

Determinizm w założeniu swem nie jest czem innem, jak zastosowaniem do zjawisk życia umysłowego powszechnego prawa przyczynowości. Że to zastosowanie nie jest dowolnem, łatwo się przekonać. Nikt nie zaprzeczy, że myśli nasze i uczucia podlegają prawu przyczynowości bezwarunkowo. Powstają one i układają się w pewne całości pod wpływem zewnętrznych czynników mimo naszej woli, a często i wiedzy, posłuszne prawu kojarzenia, które działa automatycznie, ale które w podstawie swej nie jest niczem więcej, jak przystosowaniem się umysłu do otoczenia. Ostateczną więc przyczyną naszych myśli i uczuć jest świat zewnętrzny, którego cząstkę stanowimy. Myśli atoli i uczucia nie są prostem odbiciem czynników zewnętrznych, biernym ich odgłosem. Są one raczej oddziaływaniem umysłu na nie. Umysł nie jest pustą abstrakcyą, ale rzeczą konkretną, pełną treści. I jeżeli z jednej strony przystosowuje się on do świata zewnętrznego, to z drugiej przystosowuje ten świat do siebie — do swych potrzeb. Czynniki zewnętrzne, działające nań za pośrednictwem zmysłów, przerabia on na swe myśli i uczucia, które stają się pobudkami dla woli. Nadając swym myślom i uczuciom kształt rzeczywisty, wprowadza je w świat widomy i w ten sposób zmienia jego postać. Dzieła tego dokonywa on za pomocą woli, która nie jest niczem więcej, jak czynną stroną zmysłów, jak myślami i uczuciami, pojmowanemi w chwili przejścia swego w rzeczywistość — chęcią i postanowieniem.

Czy będziemy rozważali nasze myśli i uczucia, jako sprawy czysto wewnętrzne, czy w tem stadyum, kiedy objawiają się jako słowo i czyn — nie możemy w nich widzieć nic innego, tylko pewne czynności umysłu o odmiennych kierunkach, pozostające na różnym stopniu rozwinięcia. Zanim myśl dana sformułuje się i ułoży do zgody z całością wiedzy, zanim uczucie rozwinie się i utrwali — są one czynnością czysto wewnętrzną, są procesem przystosowywania się umysłu do otoczenia. Od chwili zaś, gdy staną się świadomymi w całej pełni, dążą z natury swej do urzeczywistnienia siebie, stają się chęciami i zamiarami. Od tej właśnie chwili rozpoczyna się działanie woli, mające na celu przystosowanie świata zewnętrznego do potrzeb umysłu.

Że wola ulega prawu przyczynowości, tak samo jak myśli i uczucia, wynika to już z tego, że działanie jej zależy właśnie od myśli i uczuć. Każdy to na sobie może sprawdzić, że działamy wtedy tylko, gdy chcemy i przedstawiamy sobie w myśli cel i środki naszego działania. Wszelka czynność świadoma, a taka tylko stanowi istotę woli, musi mieć dostateczny powód w myślach i uczuciach, musi zostawać z niemi w związku przyczynowym. Działanie, któreby było niezależnem od naszych przekonań, któreby nie było następstwem uczuciowego stanu naszego umysłu, jest złudzeniem przeciwnem wszystkim znanym dotąd faktom psychologii doświadczalnej. Wola, któraby wytwarzała chęci i zamiary niezależnie od danych myśli i uczuć, jest pojęciem niezrozumiałem, pociągającem za sobą sprzeczności, których nawet transcendentalny idealizm nie potrafi usunąć.

Wola ludzka, zostając w przyczynowym związku z myślami i uczuciami, wchodzi przez to samo w takiż związek ze światem zewnętrznym. Pod jego bowiem wpływami powstają i urabiają się myśli i uczucia, określające wolę i nadające jej działaniu pewien kierunek. Co więcej, od niego to właśnie pożyczamy środków, jakich wola nasza potrzebuje dla wypełnienia swych zamiarów. Słowem, zostajemy w ścisłej zależności od świata zewnętrznego. Z tem wszystkiem zależność ta nie pozbawia nas pewnej samodzielności, wystarczającej na to, by wkładały na nas moralną odpowiedzialność za nasze czyny.

Powodem działania naszego nie są bodźce zewnętrzne, ale pobudki wewnętrzne, które pod wpływem tych bodźców powstają i rozwijają się na gruncie danych myśli i uczuć. Ażeby bodziec jakiś mógł spowodować człowieka do działania, potrzeba, żeby w człowieku, w jego myślach i uczuciach, było już coś, coby z tym bodźcem zostawało w pewnem powinowactwie, coby się z nim zgadzało i mogło z nim skojarzyć się. Czynniki zewnętrzne, chociażby w sobie były najpotężniejsze, jeżeli są obce myślom i uczuciom osobnika, pozostaną dlań obojętnymi i nie potrafią nakłonić go do działania. Zależność więc człowieka od świata zewnętrznego nie jest bezpośrednią, ale pośrednią. Pozostaje on pod przymusem wewnętrznym, nie zaś zewnętrznym, działa nie tak, jak mu wskazują okoliczności zewnętrzne, ale jak go do tego zmuszają jego uczucia i przekonania. Mocą wewnętrznej swej treści, swych myśli i uczuć, może on oprzeć się wpływom świata zewnętrznego i zachować swą niepodległość nawet wśród prześladowań i rozmaitych tortur. Kto ma głęboko rozwinięte uczucie godności ludzkiej, ten nawet wobec pewnej śmierci nie odstąpi od swych przekonań. Obawa hańby i upokorzenia popycha nieraz do samobójstwa. Nawet ten, co się ugina pod ciężarami okoliczności życia i odstępuje od swych zasad, czyni tak dlatego, że te zasady nie zrosły się z jego istotą, że gruntem jego jaźni są uczucia, które nie wychodzą po za kres popędów samolubnych i z któremi owe zasady nie mają nic wspólnego.

Czy nie jest jednakże owa samodzielność człowieka pozorną tylko? Czy jego zależność pośrednia od warunków otoczenia rzeczywiście pozostawia mu tyle swobody moralnej, że może on uważać się za odpowiedzialnego za swe postępowanie? Zważmy bowiem, że jego organizacya fizyczno-umysłowa, która służy za tło i podstawę dla jego myśli i uczuć, jest darem natury, że wiedza, którą on w życiu nabywa i uczucia, które w nim powstają, zawdzięcza on społeczności ludzkiej, warunkom swego położenia. Zdolności jego i usposobienia, zapatrywania, upodobania i chęci powstają w nim mimo jego woli, same czynności jego są zazwyczaj następstwem wdrożonych weń nałogów i przyzwyczajeń. Jest on złym lub dobrym, głupim lub rozumnym nie z własnej woli, ale bądź z natury, bądź dla tego, że go takim zrobiło wychowanie. Jest on po prostu automatem, działającym wprawdzie pod przymusem wewnętrznym, ale zawsze pod przymusem, który od zewnętrznego niczem się nie różni moralnie. Robi on źle lub dobrze, w każdym razie robi, jak musi. Nie od niego bowiem zależy być takim lub innym.

Uwagi te słuszne są o tyle, o ile słusznem jest twierdzenie, że człowiek nie jest niczem więcej, jak automatem. Do pewnego stopnia można nań się zapatrywać, jako na automat, nie trzeba wszakże zapominać przy tem, że jest on automatem obdarowanym świadomością i pamięcią. Zapomocą świadomości poznaje on siebie i świat otaczający, zdaje sobie sprawę ze swych pojęć, upodobań i pragnień i ze swego stosunku do warunków zewnętrznego świata. Pamięć wskazuje mu w potrzebie, jakie były w danych okolicznościach następstwa jego czynów dokonanych i pozwala mu przewidzieć, jakie mogą i muszą być skutki czynów przez niego zamierzonych. Tą drogą przychodzi on powoli do poznania swych praw i obowiązków w świecie, do jasnego pojęcia o tem, co może i powinien działać, a od czego musi się powstrzymywać.

Naturalnie, że znajomość swego stanowiska w świecie i wypływających stąd powinności nie nawiele by się przydała człowiekowi, gdyby nie miał władzy nad swymi mięśniami i za ich pośrednictwem nad myślami i uczuciami. W normalnym stanie jest on panem swych ruchów i od niego zależy wykonać pewne czynności, do których pobudza go chęć dana, lub ich nie wykonać; od niego również zależy objawić za pomocą ruchów mięśni lub członków ciała myśl swą i uczucie, lub też powstrzymać się od tego. Jest to wolność człowieka ujemna, ale prowadzi go ona do nabycia dodatniej. Nietylko może on nie czynić tego, co uznaje za złe, ale nadto może czynić to, co uważa za dobre. Powstrzymując się od czynności, które są zdrożne, osłabia w ten sposób naganne swe skłonności i nałogi; wykonywając natomiast czynności godziwe, wytwarza w sobie nawyknienia i upodobania pożądane. Powściągając się w objawianiu swych myśli i uczuć, sprowadza je do równowagi; za pomocą kojarzenia wyobrażeń wywołuje inne, które je przeważają i spychają z widowni świadomości. Na tem nie koniec. Nabycie poznania i wy-

tworzenie w sobie pewnych upodobań zależy od warunków zewnętrznych. Jakkolwiek zapewnienie sobie tych warunków nie zawsze jest w naszej mocy, niemniej niektóre z nich, najbardziej niezbędne, dostępne są każdemu.

W ten sposób człowiek za pomocą władzy nad swemi ruchami staje się panem nietylko swych czynności, ale i swych chęci i zamiarów; zdobywając zaś wiedzę i wykształcając w sobie uczucia wyższe, może on naprawić w sobie to, co było w nim wadliwe z urodzenia lub wychowania, może do pewnego stopnia przerobić swą naturę mocą własnych jej sił i praw, jakiemi te siły się rządzą. Słowem człowiek może, a zatem, moralnie rzecz biorąc, powinien stać się poniekąd twórcą samego siebie, sprawcą pobudek, któremi wola jego ma się kierować. Chęci i zamiary powstają na gruncie przekonań i panujących w nas uczuć. Utrwalając w sobie przekonania, zgodne z zadaniem życia, podnosząc swe uczucia do wysokości współczesnego ideału, jak on się przejawia w usiłowaniach i dążnościach społeczeństwa, nadajemy przez to samo chęciom i zamiarom naszym kierunek, jaki sami uznajemy za najwłaściwszy — kierunek, za który też całą odpowiedzialność bierzemy na siebie.

Zbytecznem byłoby dowodzić, że stopień, do jakiego może być posuniętem owo samowychowanie, zależy nietylko od darów natury, jakiemi człowiek został uposażony, ale i od warunków życia, wśród jakich pomieściło go urodzenie. Dlatego też odpowiedzialnym on jest za swe czyny w granicach faktycznej możliwości.

Przekonywamy się tedy, że zarzuty, jakiemi obarczają determinizm wyznawcy wolnej woli, pozbawione są wszelkiej podstawy. Ani on paraliżuje moralną energię człowieka, ani znosi jego odpowiedzialność za to, co świadomie dokonywa.

Że determinizm jest jedyną zasadą, dającą się z pożytkiem zastosować w życiu społecznem, widać z tego, że na nim właśnie opierają się wszystkie instytucye, które mają za zadanie oddziaływać na jednostki w kierunku potrzeb zbiorowego ciała; że jest on również pożyteczny pod względem psychicznym, wykazać można łatwo z samych założeń, które stanowią jego istotę. Dowodzi on, że wola ludzka nie jest niczem więcej, jak wypadkową wszystkich czynności umysłowych, a zatem urabia się ona i kształci podobnie, jak inne strony umysłu, drogą wprawy i doświadczenia; że zależy ona bezpośrednio od myśli, uczuć i nawyknień, a zatem człowiek, który pragnie być istotą wolną, musi pilnie czuwać nad sobą i mieć ciągłą baczność nietylko nad swymi postępkami, ale także nad myślami i uczuciami. Wkłada on na człowieka obowiązki, które ze stanowiska doktryny wolnej woli są całkiem zbyteczne, jakkolwiek od ich to właśnie wypełniania lub niewypełniania zależy odpowiedzialność moralna. Człowiek, który święcie wierzy w wolność swej woli, polega na nadnaturalnej jej potędze i zaniedbuje użycie środków pomocniczych, mogących wzmocnić jego wolę, a jednocześnie usypia swą czujność na to, co się dzieje w jego sercu. Zresztą, poddając się złudzeniu, że w danej potrzebie potrafi pokonać w sobie rodzące się namiętności i nałogi, lekceważy je i pobłaża im — i wtedy dopiero przekonywa się o ich potędze, a o słabości swej woli, gdy zgubne następstwa namiętności staną się widocznemi, a walka z niemi — niepodobieństwem.

W. Kozłowski.

ŹRÓDŁA BOGACTWA.

III.

Podnosząc znaczenie zdobyczy naukowych dla wzrostu wytwórczości, Wirth zwraca uwagę na fakt, który niejednemu z czytelników naszych będzie się wydawał nowością. Oto utrzymuje on, że niemcy, tak skorzy zawsze do chełpienia się ze swojej misyi cywilizacyjnej i zasług na polu naukowem położonych, w rzeczywistości żadnej samodzielnej nauki nie mają, kosmopolityczna zaś z pomiędzy wszystkich ludów Zachodu u nich najmniej przeniknęła w życie. Wina to zarówno uczonych, jak i przemysłowców niemieckich. Pierwszych dlatego, że najczęściej o stosunkach praktycznych nie mają pojęcia; drugich z powodu, że zmuszają wynalazców-ziomków swoich do szukania kapitałów we Francyi, Anglii i Ameryce — przez co nowe pomysły niemieckie po kołowaniu za granicą dopiero wracają do ojczyzny, oraz, że wcale prawie nie kupują książek. Podczas gdy w Wielkiej Brytanii posiadanie biblioteki należy do wymagań każdego jako tako prowadzonego domu, kupiec niemiecki (z bardzo małymi wyjątkami) nigdy książek nie nabywa. „A nie trzeba zapominać — dodaje autor — że dzieje się to w kraju, w którym, niestety, najwięcej wychodzi dzieł! Osobiście znam wielu milionerów niemieckich, którzy mają pałace i wille z obiciami gobelinowemi, ale nie posiadają najmniejszej biblioteczki. Przed dwudziestu kilku laty na jednej z ulic Frankfurtu nad Menem sam widziałem zięcia jednego z panujących książąt niemieckich, jak wraz z żoną wychodził ze znanej czytelni, przyczem oboje nieśli książki, które widać należały wówczas do najpoczytniejszych, gdyż już na sam widok ich wielka ogarnęła mnie tęsknota za miską wody. Stanąłem zdumiony i nie mogłem się oderwać od dziwnego obrazu, jaki stanowiła owa strojna para, która wsiadała do oczekującego na nią wspaniałego powozu ze strzelcem o powiewającym pióropuszu, a nie zadała sobie tyle trudu nawet, żeby książki w czysty owinąć papier. Zwyczaje podobne niemożliwe są śród arystokracyi francuskiej i angielskiej."

W rozdziale „szczęście i zręczność," Wirth temu, co pospolicie „szczęściem" się nazywa, bardzo ciasne zakreśla granice. Według niego szczęściem jest dla ludzi, gdy urodzeni są w kraju, który ma klimat łagodny, ziemię urodzajną, dobre porty i rzeki spławne, obfite skarby kopalne i położenie osłonięte przez odnogi morskie lub góry, który z trwałego korzysta pokoju, doskonałych dróg komunikacyjnych, liberalnego prawodawstwa, racyonalnego systemu podatkowego i dobrego sądownictwa — oraz ma nad sobą rząd opiekuńczy, dbały o postęp oświaty, zdolności zarobkowej i zdrowotności śród narodu. Szczęściem jest urodzić się w Europie lub Ameryce północnej, zamiast w Azyi lub Afryce, tak samo jak szczęściem jest pochodzić od rodziców zdrowych, dobrych, zamożnych i szanowanych, którzy dają dzieciom swoim odpowiednie wychowanie i wykształcenie fachowe, mogą im być pomocni przy obiorze zawodu, a nadto wyposażyć ich jeszcze w pewien fundusz na drogę życia, zamiast być dzieckiem ludzi ubogich, ciemnych, chorowitych, nieobyczajnych lub przestępnych. Szczęściem nakoniec jest być obdarzonym od natury ciałem zdrowem, silnem, rozumem, talentem i umiarkowanymi popędami. Wszystko, co wychodzi poza ten zakres, przypisywać każe nie szczęściu, ale zręcznej i umiejętnej działalności jednostki. Komu do działalności takiej może przyjść z pomocą niewielki choćby kapitalik, pozwalający wyzyskać sprzyjające okoliczności, ten niechybnie może liczyć na powodzenie w życiu. Bo traf szczęśliwy prędzej lub później zdarza się każdemu, kto wytrwale zajmuje się pewną gałęzią przemysłu. Za wzór umiejętnego korzystania z przyjaznych warunków ekonomicznych stawia autor żydów, którzy przez dwa tysiące lat blisko niedopuszczani do uprawy roli i rzemiosł, ani do pełnienia obowiązków służby publicznej, oraz wszystkich niemal zawodów wyzwolonych, zmuszeni widzieć w handlu wyłączne powołanie życia swojego, w handlu też do takiej doszli biegłości, iż zazwyczaj mają w nim przewagę nad wszystkimi współobywatelami innych wyznań. „Z wyjątkiem — powiada — niewielkiej liczby zbogaconych na giełdzie aferzystów żydowskich, którzy rozrzucają pieniądze i imponują marnotrawstwem, żydzi mają wysoko rozwinięty zmysł umiarkowania i oszczędności. Początkowo przez państwo skazani na obracanie kapitałem ruchomym, z biegiem czasu z przymusu tego wytworzyli sobie zwyczaj narodowy gromadzenia pieniędzy, dzięki którym mogli nabywać korzystnie w czasie panowania cen niskich, a ze sprzedażą czekać podniesienia się ich. Nierzadkie wprawdzie są wypadki, że żyd główne ciągnie zyski z kłopotów bliźnich swoich, że od ludzi podupadłych kupuje ruchomości i nieruchomości za ceny przerażająco tanie, że pożycza na zastawy, a w razie niemożności wykupienia ich, dochodzi do posiadania przedmiotów bardzo cennych nieraz za bezcen; ale kto jest sprawcą podobnego stanu rzeczy? Tylko społeczeństwo chrześciańskie, które wzbroniło żydom zajmować się rolnictwem i rzemiosłami. Zboczywszy zaś w ten sposób na pole kwestyi żydowskiej, jakby dla wytłomaczenia myśli swojej, dodaje: „Nie ulega wszelako wątpliwości, że wraz z uzyskanem równouprawnieniem żydzi poważny mają obowiązek okazać się godnymi uznania ze strony państwa nowożytnego i zerwać raz na zawsze z owemi tradycyami i zwyczajami, które i nadal zdolne są jedynie napiętnować ich cechą obczyzny względem reszty ludności, podczas gdy dążeniem ich być powinno o ile możności asymilować się z tą ludnością. Święte też w tej mierze zadanie wpływu oświecającego na współwyznawców swoich mają rabini, nauczyciele i naczelnicy gmin żydowskich, a zwłaszcza przekonywać warstwy niższe, że uczciwe rzemiosło, albo choćby najcięższa praca na roli, nierównie stoją wyżej, aniżeli szacherka, najczęściej kosztem współludzi-chrześcian prowadzona."

Z tem wszystkiem — według Wirtha — ogromnej wyższości siły zarobkowej, jaką zapewnia bogaczom połączenie doświadczenia, biegłości fachowej i kapitału, wspartego wyrobioną klientelą i zaufaniem — ze stanowiska dobrobytu powszechnego nawet wcale za złe poczytywać nie można. Wyższość ta złem byłaby tylko wtedy, gdyby bogactwo łatwo nabyte, zostało zmarnowanem lub strwonionem za granicą. W krajach ucywilizowanych jednak milionerzy są zazwyczaj ludźmi skromnymi, którzy spożywają jedynie część swoich dochodów, znaczną zaś część ich kapitalizują. Skutkiem tego kapitał ogólny wzrasta, stopa procentowa ulega obniżeniu, możność zarobkowania zostaje ułatwioną, przedsiębiorczość podsycona, popyt na robotników zwiększony, a płaca podwyższona. Wspomniawszy o znaczeniu towarzystw akcyjnych i o wpływie, jaki na rozwój ich, bądź drogą zachwalania, bądź prostego milczenia tylko, wywierała prasa — autor dodaje: „I w ten sposób ludzie ogromnie porobili majątki — a prawdziwie smutnego doznajemy wrażenia, widząc, jak z pomiędzy dwu braci, jeden, wieszcz nieśmiertelny, w nędzy dokonywa żywota, podczas gdy drugi, który bardzo mizernie założył pisemko, czytane jednak przez ary-

stokracyę, w epoce oszustw (gründerstwa) zebrał miliony."

W rozdziale o polityce gospodarczej autor mówi o wartości różnych systemów celnych, o taryfach dróg żelaznych, o monopolach (tytuniowym, solnym itp.), o pracy więźniów i o nadzorze państwowym nad sprzedażą artykułów żywności pod względem hygienicznym i przemysłowo-policyjnym. Nadzór taki uważa on za konieczny, gdyż masy ludności same mało się znają na kupowanych produktach, a niedołęztwo konsumentów już z powodu znacznej ich liczebności jest tak wielkiem, iż rzadko tylko zdolni są porwać się do wspólnej obrony przeciwko napaściom na kieszeń ich lub zdrowie. Że zaś obrona taka nieodzownie jest potrzebną, dowodzi tego, przytaczając liczne szczegóły o fałszowaniu piwa, wina, mleka, masła, miodu, herbaty i kawy. Napomknąwszy przy sposobności o piekarzach, jako o dostarczycielach jednego z najważniejszych artykułów żywności, dodaje przytem barwny obrazek postępowania tych panów — w Wiedniu. W zimie 1885 r. z przyczyny skarg publiczności, że pomimo stanienia pszenicy przeszło o 30%, wcale tego nie czuć na wadze bułek dwukrajcarowych, wyznaczono osobną komisyę dla zbadania wagi pieczywa w całem mieście. I oto rezultat badania tego nietylko że stwierdził w zupełności zarzut powyższy, ale wykrył fakcik jeszcze dziwniejszy, a mianowicie, że zachodziły różnice co do wagi jednych i tych samych gatunków przez różnych piekarzy wypiekanych: bułki gatunku najlepszego, tak zwane „kajzerki," miały wagi pomiędzy 40 a 75 gramami, pośledniejsze czyli „montowe" ważyły pomiędzy 60 a 90 gramami. Na zasadzie tych danych biegli orzekli, że kiedy kajzerka waży 75 gramów, piekarze na 100 kilo pszenicy zarabiają 5 guldenów i 50 krajcarów, kiedy waży tylko 45 gramów, mają zarobku czystego 29 guldenów 50 krajcarów, że na bułkach montowych o wadze 90 gramów zyskują po 2 guldeny 50 krajcarów na 100 kilo, podczas gdy na 60-gramowych mają zysku siedem razy tyle.

Wogólności autor jest zdania, że zasada „laisser faire, laisser passer" najzupełniej odpowiednią była w czasie, kiedy została postawiona, tj. wobec niesłychanego systemu opiekuńczego, jaki panował we Francyi, gdzie rząd i policya mięszały się nawet do wewnętrznych stosunków warsztatowych i z tego powodu nie miały czasu na zajmowanie się ważniejszemi swojemi zadaniami. Zaprzeczyć jednak trudno, że w wielu dziedzinach państwo troskliwością swoją i inicyatywą dużo może zdziałać dobrego i uwolnić naród od klęsk zastarzałych o całe pokolenie wcześniej, aniżeliby się to stać mogło bez jego pomocy.

Kończy książkę rzut oka na przyszłość stanu ekonomicznego, którą autor wogóle w nader optymistycznem widzi świetle. Postępy elektrotechniki, jak mniema, oraz połączenie sieci dróg wodnych w Europie środkowej, niezbędne dla wytrzymania konkurencyi zbożowej z Ameryką i Indyami — same jedne zdolne są powołać do życia tyle nowych gałęzi przemysłu i tyle dać sposobności do pracy, iż sowicie wynagrodzą ludzkości wszystkie straty dotychczasowe. Niedalekim jest — według niego — czas, w którym światło elektryczne zastąpi gaz na ulicy i w domu. Gaz znowu zacznie być używanym za materyał opałowy. Dzięki nowym, trafnie obmyślanym przyrządom, spełniać on będzie cel ten czyściej i taniej, aniżeli drzewo i węgiel, a znakomita oszczędność w tych ostatnich, wyjdzie na korzyść przyszłych pokoleń. Zastosowania telegrafu i telefonu, zaopatrzenie miast w dobre wodociągi, tramwaye, koleje miejskie, w aparaty hydrauliczne, pneumatyczne i motory parowe, w przyrządy ogrzewania gazem, budowa wiatraków amerykańskich i ulepszenia w wydobywaniu nafty i drogich kruszców — oto są pojedyncze zagony owego nieprzejrzanego pola trudu i dobrobytu ludzkiego. „Skoro w ten sposób — zamyka rzecz swoją Wirth — rolnictwo nasze, a zwłaszcza w Europie środkowej, przybierze kształty bardziej samodzielne, skoro wzmocnione zostaną środki wytwórczości przemysłowej, gałęzie rękodzielnictwa pomnożone i upiększone ich wyroby — wtedy wzrosną zarobki, ludność będzie mogła powiększać się wciąż w postępie rosnącym, konsumować artykuły żywności i przerabiać materyały surowe z innych części świata, oraz płacić za nie produktami własnymi. Za urozmaiceniem i pomnożeniem tych ostatnich iść będzie rozszerzenie rynków zbytu, a mianowicie zjednani zostaną nowi, na miliony liczący się odbiorcy z Afryki i Chin. A gdy obecna polityka rogatkowa zasłużonego dozna bankructwa, rozpocząć się może szczęśliwa i pokojowa era równowagi gospodarczej, wśród której kraj każdy i okolica takie jedynie wytwarzać będą przedmioty, jakie w nich właśnie wypadają najtaniej i najpiękniej. Rozwój przemysłu, naturalnemu biegowi pozostawiony, bez użycia środków cieplarnianych, sprawi to, że rzadziej zdarzać się będą zakłócenia równowagi, a choć i wtedy niezupełnie uniknąć się dadzą przesilenia ekonomiczne i peryodyczne zastoje, głównie z powodu zawikłań politycznych i nowych wynalazków — to jednak łatwiejsze będą do przewidzenia, a tem samem wczas przeciwdziałać im będzie można."

Na tem kończymy sprawozdanie nasze. Pominęliśmy w niem dużo interesujących szczegółów, a zwłaszcza niezmiernie cenny materyał statystyczny. Sądzimy przecież, że to, cośmy o treści dzieła powiedzieli, wystarczy dla przekonania czytelników, iż jest ono owocem głębokich studyów i długoletniego doświadczenia i z tego względu na poważne zasługuje zastanowienie ze strony każdego, komu nieobojętnem jest ciężkie przejście ekonomiczne, jakie przebywa obecnie nietylko kraj nasz, ale i cały świat ucywilizowany.

Ad. J. Cohn.

LITERATURA I SZTUKA.

WSPOMNIENIA POŚMIERTNE.

Ks. WALERYAN KALINKA.

O autorze *Sejmu czteroletniego* można mówić szczerze i pochlebnie, a przytem szanując śmierć, nie obrazić prawdy. Bo był to człowiek rzetelnego charakteru, wielkiej pracy, rozległej wiedzy i trwałej zasługi, umarł zaś w chwili, w której sławę pozyskał, nadzieje budził i spełniał. Nikt na ten zgon nie był przygotowany, nikt go obojętnie nie przyjął, nikt żalu kłamać nie potrzebował.

Liczył jednak Kalinka już lat 60. Urodził się w Krakowie; ukończywszy studya uniwersytetu, skierował się naprzód na drogę swego ojca — wstąpił jako aplikant do trybunału. Wkrótce jednak zagrało mu w duszy pobudkę przeznaczenie właściwe. W 22 roku życia pod pseudonymem Włościanina pisze z nad Wisły broszurę popularną: *Jaką była dawniej Polska*, przyjmuje udział w *Czasie*, *Polsce*, *Dwutygodniku lit.*, *Orędowniku*, *Przeglądzie poznańskim*, *Przyjacielu ludu* i in., nareszcie występuje z obszerniejszem dziełem *Historya pożaru m. Krakowa* (1850) i tegoż roku pod nazwiskiem Penclawskiego rzuca w świat z Poznania *Listy o Krakowie*. Opuściwszy miasto rodzinne, przeniósł się do Paryża, gdzie, obok prac publicystycznych, prowadzi badania naukowe i wydaje dzieło: *Galicya i Kraków pod panowaniem austryackiem* (1853) oraz *Żywot T. Tyszkiewicza* (Poznań).

Nieznane nam bliżej powody, a prawdopodobnie wpływy otoczenia na emigracyi skłoniły go do przywdziania sukni księżej. Człowiek nieco się zmienił, ochłódł i stwardniał, ale badacz dziejów ojczystych pozostał równie jak przedtem zapalony. Właściwie nawet w tej porze zaczyna on błyszczeć jako gwiazda pierwszej wielkości. Już nie specyaliści, ale ogół zajął się nim po wyjściu *Ostatnich lat panowania St. Augusta* (Poznań 1868). Praca ta oraz następna *Polityka dworu austryackiego w sprawie konstytucyi 3 maja* (Krak. 1873) były jak gdyby wstępem przygotowawczym do znakomitego a niestety nieukończonego dzieła *Sejm czteroletni* (Krak. 1880). Obfitość świeżego materyału, nowe widnokręgi historyczne, odmienne oświetlenia bohaterów tego dramatu, niemal zupełna zmiana jego osnowy — wszystko to uderzyło społeczność tak mocnem i złożonem wrażeniem, że dziś dwa wydania tej książki zostały wyczerpane. Sam Kalinka, obalając wiele poglądów zakorzenionych, unieważniając wyroki, uważane za nieomylne i niewątpliwe, przypuszczał, że to wrażenie zwróci się przeciw niemu ostro. „Nikt — pisał on—nie wywraca dawnych, utartych pojęć, nie wywołując przeciw sobie pewnego rozdrażnienia, może nawet oburzenia, i z tem potrzeba się zawczasu oswoić, czekać spokojnie, aż prawda przedrze się przez mgły i wyjaśni. Nadspodziewanie z moją książką inaczej się stało." Rzeczywiście — inaczej. Mimo gorzkich rozczarowań, mimo utraty złudzeń, przyjęto ją z uznaniem i zachwytem.

Ale cóż ona w sobie takiego zawierała? Streszczając ją najogólniej, zawierała ten wniosek, że nie Rosya, ale Prusy stworzyły nieszczęścia i upadek Polski, nie król, bezsilny i rozogniony najlepszemi chęciami, ale szlachta sejmująca wykopała grób narodowi. Wniosek ten rozprowadzony jest w niezmierzonej masie szczegółów i dowodów, w charakterystyce postaci głównych, do czego autorowi dostarczyły materyału ukryte źródła rękopiśmienne. Jak dalece społeczeństwo nasze było już przygotowane do wysłuchania takich twierdzeń i z jakim talentem Kalinka je przedstawił i poparł — świadczy nadzwyczajne powodzenie książki i przeoczenie w wielu punktach jej jednostronności. Kto jej nie czytał, ten nie może odgadnąć, do jakiego stopnia Kalinka spokojnemi a mocnemi uderzeniami rozbija ostatnie skrzydło budynku naszej historyi i wznosi gmach nowy. W jednej ręce trzyma młot olbrzymi, a w drugiej kielnię. Nie powiemy, ażeby dotarł do prawdy, ażeby jej światła sobie nie przesłaniał uprzedzeniami, ale że do badań nad końcem w. XVIII dziejów polskich wpuścił prąd świeży, który zwiał masę kurzu starego, to nie ulega wątpliwości.

Drobne jego rozprawki religijne pomijamy, bo one jego zasługi nie powiększają. Przeciwnie, żałujemy, że straconego na nie czasu nie użył do posunięcia pracy nad *Sejmem czteroletnim*, który pozostał pięknym zrębem gmachu niedokończonego.

Smutek szczery, niezależny od chwilowych i szybko topniejących względów czasu i miejsca należy się zmarłemu od każdego, kto mu światło winien i takie zasługi cenić umie. Był to umysł dużej miary, znacznej głębokości i ciągłego natężenia. Po stracie takich umysłów literatura nie zamyka się, jak woda nad topielcami, lecz długo trzyma po nich opróżnione miejsce, na którem później zaszczytny nagrobek lub pomnik stawia.

WACŁAW SZYMANOWSKI.

W literaturze zajął nieboszczyk stanowisko skromne, ale w mieście i sferze dziennikarskiej bardzo wydatne. Jako redaktor pisma najpoczytniejszego i powiązanego różnostronnymi stosunkami stał się osobistością popularną i znaną, a tę popularność — że tak powiemy — towarzysko-społeczną wciągano mu do rachunków znaczenia literackiego, które on sam z tą nadwyżką za wierny wyraz swych zasług uważał. I zdziwiłby się niezawodnie, gdyby z trumny mógł usłyszeć, że w pierwszych doniesieniach i objawach przyjacielskiego żalu prasy odezwała się głównie lub wyłącznie nuta smutku po stracie „kolegi i zacnego człowieka." Szymanowski bowiem widział w sobie przedewszystkiem znakomitego poetę.

Przed laty sześciu, z powodu wydania zbiorowego jego utworow, zamieściliśmy w *Prawdzie* obszerniejszy ich rozbiór. Tam p. Kotarbiński w takie określenie ujął jego talent: „Trudno nam schwycić jakiś rys górujący, jakiś punkt zbieżności dla dążeń twórczych, właściwych prawdziwie oryginalnym artystom pierwszej wody. W całym zawodzie poetyckim Szymanowskiego nie widać rozpędowego kroczenia, podsycanego ciągle tlejącym ogniem odrębnej, indywidualnej pracy ducha. Twórczość jego działa często za potrąceniem wpływów francuskich, a wszędzie prawie znać w nim wirtuoza, który jest zawsze biegłym, zawsze poprawnym, a falując na różne sposoby i tony, dobywa tu i owdzie dźwięki, jeżeli nie natchnione, to strojne i piękne. Nic dziwnego, że taki wirtuoz formy jest prawdziwie znakomitym tłomaczem dramatów francuskich, przeważnie klasycznego pokroju."

Wyrażając sąd najkrócej, rzec można, że Szymanowski nie był poetą głębokich i świeżych natchnień, ale wytwornym wierszopisem i tłomaczem.

Był także i redaktorem *Kuryera warsz.* Przed otwartym grobem nie będziemy obliczali tej jego działalności i milczeniem uszanujemy majestat śmierci.

TEATR.

A. Wilbrandt *Arya i Messalina.*

Sądzenie dramatów historycznych według źródeł dzisiejszych jest zabawką równie bezpłodną, jak porównywanie współczesnych z protokółami trybunałów karnych lub wykazami statystycznymi. Jeżeli zaś pisarz dla utworów artystycznych nietylko może, ale musi przerabiać życie współczesne, czemuż by miał tracić to prawo wobec przeszłego? Nie zmarnujemy więc ani słowa na dowiedzenie, że dramat Wilbrandta różni się z kroniką Tacyta. Uznajemy w pierwszym taki wątek, jakim on wysnuł się z wyobraźni autora i badamy go tylko artystycznie.

Messalina, rozpustna żona Klaudyusza, nasyciwszy się tyloma kochankami, że postradała pamięć ich liczby, i odprawiwszy ostatniego w tym szeregu, Gajusa Sibiliusza, zapłonęła gwałtowną namiętnością do młodego chłopca, Marka Petusa, syna Caeciny i Aryi, którzy przybyli do Rzymu — on sprowadzony jako spiskujący przeciw cezarowi, ona jako wierna towarzyszka swego męża. Marek z początku nie wie, w czyje objęcia padł bezprzytomny, a gdy go Messalina objaśnia, rozgorączkowany młodzieniec pokonywa w sobie wyrzuty sumienia i godzi się być jej kochankiem. Zausznik, intrygant pałacowy, pan woli Klaudyusza, Narcyz uwiadamia tajemnie Petusa i jego żonę, gdzie ich syn w sromocie utonął. On sam wreszcie przybywa do matki skruszony, wstydem i rozpaczą złamany. Arya druzgocze go gniewem i wzgardą, zwłaszcza usłyszawszy, że Messalina (która odpuściła im winę) ma przybyć do ich domu, zabrać Marka i ogłosić go publicznie swym kochankiem. Myśl ta przepala serce rzymianki czystej, wyniosłej i gardzącej swą przeciwniczką. Stwarza się jednak położenie bez wyjścia: jeśli Marek ucieknie lub oprze się wszechwładnej zalotnicy, zgubi rodziców, jeśli jej ulegnie— shańbi siebie. Więc chwyta podsuniętą mu w gniewie przez matkę myśl— truje się. Messalina przybyw o naznaczonej porze i znajduje trupa. Szał, namiętność gwałtownie stłumiona, żal, niemoc— wszystko to miesza się i kotłuje w jej piersi, zwłaszcza gdy Arya nie pozwala jej splamić zwłok syna pocałunkiem. Furye niosą rozwścieklona do pałacu, gdzie każe sprowadzić Petusa z żoną i zabić się im własnemi rękami. A tymczasem, zagrożony na swem stanowisku Narcyz, pojechał do Klaudyusza, bawiącego w Ostyi, przeraził go zamiarami żony, sprowadził do Rzymu i natchnął zemstą. Wojska obległy pałac, a Messalina opłaca swe winy życiem.

Tak rozwinął treść swego utworu Wilbrandt. Jest ona poetyczną i dramatyczną, a chociaż w obrobieniu nie ukazuje nam ręki olbrzyma, zdradza siłę wielką. Niektóre sceny — jak np. rozmowa Marka z matką, przybycie Messaliny do zwłok kochanka — są wspaniałe. Co do charakterów, zarówno chorobliwa lubieżność jednej kobiety, jak stalowa czystość drugiej — uwydatnione doskonale. Marek jest trzecią postacią, nakreśloną wyraziście i znakomicie. Inne roztapiają się w mgle szarej. Czuć to nadewszystko w Petusie, który chciał zatrząść gmachem tyranii, jest bogiem dla swej żony, a dla czytelnika i widza pozostaje złamanym, niedołężnym, połowicznie świadomym. Nie wchodzimy w spór, czy Marek nie miał innego wyjścia z matni po za trucizną, czy jego matka nie przekroczyła granic natury ludzkiej, czy Messalina nie jest trochę despotką teatralną, za której wolą nie biegną czyny — bo by to nas wprowadziło w rozprawę, dla której nie mamy miejsca. Zaznaczymy więc tylko staranność reżyseryi w wystawieniu i artystów w odegraniu tego dramatu. Z tych ostatnich na oklaski zasłużyli głównie pp. Rakiewiczowa (Arya), Kotarbiński (Marek) i Rapacki (Narcyz). P. Marczello, jako Messalina, miała chwile szczęśliwe, ale nie stworzyła całości jednolitej a urozmaiconej, zatraciła przytem mnóstwo szczegółów i rysów drobnych. Prawdziwą niespodziankę sprawił wszystkim p. Kotarbiński, który używany do t. z. ról salonowych i charakterystycznych, zszedł a raczej zsunięty został w ostatnich czasach na poziom bardzo średnich sił aktorskich. W tym dramacie znowu odsłonił się jego talent właściwy — talent do przedstawiania charakterów starożytnego kroju i koturnowej podniosłości. Jego Marek był pięknym bez zarzutu, chyba równie pięknym, jak Arya p. Rakiewiczowej.

H.

KARTKI ESTETYCZNE.

VIII. Szyk.

Są wyrazy, w których, niby w ognisku jakiejś soczewki olbrzymiej, skupia się obraz pewnej całej epoki.

Baudelaire (genialny dziwak, falą czasu i mody znów we Francyi na wierzch wyniesiony) opowiada w swych *Les Paradis artificiels* o angliku nazwiskiem Quincey, niewolniku palacza opium, który miewał cudowne widzenia treści starorzymskiej, ile razy usłyszał lub przeczytał słowa: *Consul romanus.*

Czy okrzyki „kochajmy się!" lub „protestuję!" nie wskrzeszają również w wyobraźni polaka pewnej, wyraźnie określonej chwili dziejowej?

Czy tytuł „margrabinka" nie wywołuje z cmentarza przeszłości pudrowanego dworu Ludwików czternastych i Stanisławów drugich, z całym korowodem lekkich miłostek, śmiałej filozofii i eleganckiego cynizmu?...

Do rzędu takich słów symbolicznych, należy też i wyraz — „szyk."

Wyraz ten stworzyło drugie cesarstwo we Francyi, czasy Napoleona III i... Offenbacha. Wyszedł on z tej epoki i zamknął ją całą w swym impetycznym, jednozgłoskowym dźwięku.

Pijana i niezdrowa wesołość, kłamane pozory potęgi i siły, zawrotny taniec nad przepaścią, niedołężne przedrzeźnianie orgii klasycznych, tak się do nich mające jak Olimp *Orfeusza w piekle* do Olimpu *Iliady*, stosy papierowych róż, zakrywające niezręcznie otchłań hańby i nieszczęścia— wszystko tkwi w tym jednym wyrazie, który z nad Sekwany przeszedł nad inne europejskie rzeki, wlokąc za sobą wszędzie odurzającą i upadlającą atmosferę rozkładającego się cezaryzmu.

Ze sfery życia towarzyskiego i politycznego, „szyk" przedostał się do sztuki i piśmiennictwa, płodząc cały szereg dzieł błyskotliwych i zręcznych, ale zarazem pustych wewnątrz i nietrwałych.

Jemu to zawdzięcza przedewszystkiem istnienie swe — operetka. Nazwa tego rodzaju zdawałaby się wskazywać, że jest tylko zdrobnioną operą, w rzeczywistości wszakże stanowi on odrębny zupełnie dział muzyki. Operetka jest bardziej wykrzywieniem opery, niż jej pomniejszeniem. Ci i owi, liryczniej od innych nastrojeni muzycy, usiłują wprawdzie wprowadzać do niej trochę poezyi, powagi, sensu — górującym wszakże celem, do którego podąża operetka, odpowiadająca wymaganiom „szyku," jest ten rodzaj harmonii, jaki powstaje z uderzenia pogrzebaczem w samowar lub nożem w szklankę przy jednoczesnem bębnieniu pięściami w stół i palcami w szyby. Wszyscy, godni następcy Offenbacha, posiadający „nerw operetkowy," w mniejszym lub większym stopniu zbliżają się do tego ideału — przyczem jednak owa kocia muzyka bywa zawsze nader efektownie instrumentowana, posiada wesoły i podniecający rytm walczyka, i odśpiewywana jest koniecznie przez młode i apetyczne kobietki, przy wszystkich cudach bogatej dekoracyi i misternej maszyneryi.

Dzieło — jak bywa zawsze prawie — przeżyło swego twórcę, i „szyk" broi dziś na świecie po dawnemu, chociaż ideały drugiego cesarstwa pogrzebano już *in saecula saeculorum.*

Muzyka przyswoiła sobie przed innemi tę formę zwyrodnioną i mimo chłost, jakich nie szczędzą jej krytyczni mentorowie, rozstawać się z nią nie myśli.

Od muzyki zaraziła się „szykiem" mieszkającą z nią zwykle pod jednym dachem— komedya.

Plewą „szykownych" utworów scenicznych, już od lat kilkunastu, karmi nas stale repertuar francuski, przeszczepiany skrupulatnie na naszą niwę. Wojuje on zaś głównie dwiema siłami: wesołością i... mistyfikacyą.

Szykowny Labiche, Meilhac lub Halevy łechcą nas pod pachy, zmuszając do „pękania od śmiechu" na widok jakiegoś świata komicznie powykrzywianych lalek, które wiodą życie na żart, prócz lekkich miłostek i wzajemnej blagi nic nie rozumieją i ród swój wywodzą nie z ziemi, lecz z księżyca lub... parawana.

Szykowny znowu Feuillet lub Dumas poczynają z nami inaczej. Przebrani za średniowiecznych czarodziejów, mając w rę-

ku czarnoksięskie laseczki, a znaki kabalistyczne na piersiach i plecach, ogłupiają nas jakiemiś, wrzekomo głębokiemi kwestyami, które sprowadzić się dają wieczyście do jednego i tegoż samego pytania:

— Co to jest takiego — kobieta?

Stukają się palcami w czoło, marszczą się, jeżą, nadymają, i dawszy nam do zrozumienia, że oni tylko jedni zdobyli to *mot d'énigme*, rzucają nam, nakształt Pytyi, odpowiedzi dwuznaczne, zagadkowe, zdumiewające zuchwalstwem lub bałamucące niejasnością...

Zaprawdę, czas już wielki, aby ta szarlatanerya do właściwych granic sprowadzoną została. W epoce ascetycznego obłędu rozprawiano w grubych woluminach o tem: jaka jest głębokość i szerokość piekła oraz czy i jaką płeć mają aniołowie; nic też dziwnego, że zniewieściała i zdziczała Francya mogła z kapłańskiem namaszczeniem dysputować o tem, co lepsze: *tue-le* czy *tue-la*? Ale dla nas, którzy jesteśmy jeszcze na szczęście dość zdrowi nerwami, owe niby potężne hasła mają wartość papierowych pukawek.

A jednak, jeżeli nie narodzili się jeszcze polscy Dumasowie, nie trudno natomiast spotkać się z polskimi Labiche'ami. Najgłośniejsze powodzenia teatralne ostatnich czasów im to właśnie dostały się w udziale. Zręczność, zgrabność, błyskotliwość, zamiast dowcipu koncept, zamiast prawdy życiowej efektowna bajeczka, zamiast spostrzeżeń psychologicznych śmiałe dwuznaczniki — oto przymioty, za któremi ci, wyrodni synowie Fredry najusilniej się dziś ubiegają, wiedząc, że „towar" ten najlepiej na rynkach publicznych „popłaca."

Bezpośrednim wynikiem szyku repertuarowego musiało być wytworzenie się pewnej odrębnej grupy artystów i artystek „z szykiem." Posiadamy i pierwsze i drugie. Zadaniem tego rodzaju aktorów zdaje się być zacieranie w grze ostatniej iskierki prawdy, logiki i poezyi, jaka jeszcze w zmanierowanej robocie komedyopisarza mogła była ocaleć. Następstwa tego stanu rzeczy mogą być smutne. Szykowne sztuki grane przez szykownych artystów wiodą teatr prostą drogą do zdziczenia. Widnieje to już w dzisiejszym repertuarze francuskim. Człowiek rzeczywisty, żywy, ze zdrowym mózgiem i sercem, bywa tam coraz rzadszem zjawiskiem.

Zaraza „szyku," zanim jeszcze nadgryzła naszą twórczość dramatyczną, zakaziła tu i owdzie nasze dziennikarstwo. Mieliśmy — a i dotąd mamy — nadwiślańskich, obojga płci, francuzików, pod których piórem życie, z całą swą uroczystą powagą i zatrważającemi wróżbami, zmienia się w zalotny i uśmiechnięty — felieton. Zabawiają oni tłum skaczącym w takt polki frazesem, olśniewają go kabalistyką tajemniczych z pozoru wykrzykników, pytajników i domyślników, łudzą wreszcie upartem wmawianiem, że wszystko dzieje się jaknajlepiej na tym najszykowniejszym ze światów...

Jeżeli pod sztandarem „szyku" służy dama, wówczas nie spodziewajcie się od niej niczego więcej, prócz czczej, choć zręcznej gadaniny o strojach, kwiatach, zapowiedziach, ślubach, separacyach i rozwodach. Jeżeli zaciągnął się tam na ochotnika mężczyzna (objaw rzadszy), wygrywać on wam będzie ustawicznie jednego i tego samego kuranta na temat: teatru i sportu, sportu i teatru — tak właśnie, jakby życie ogniskowało się jedynie w sali teatralnej i... stajni.

Nader podatnym gruntem dla „szyku" okazało się malarstwo.

Może byłoby przesadą twierdzić, iż cała twórczość malarska we Francyi płynie dzisiaj tem wązkiem i płytkiem łożyskiem; że jednak skierowała się w tę stronę większość francuskich malarzów, wątpliwości nie ulega.

Szyk malarski polega na tem, żeby przedstawiać wszystko albo ładnie, albo niezwyczajnie. Zgodnie z tym programem „szykiści" dzielą się na dwie główne kategorye: zalotników, wciskających wszelką treść w gotowe już, eleganckie, salonowo-buduarowo-alkowiane foremki, i szarlatanów, ukrywających brak talentu i wykształcenia pod maską brawury, dziwacznych wybryków i niby rozmyślnego zaniedbania.

W naszem współczesnem malarstwie, które jak strój arlekina poszywane jest ze strzępków wszystkich niemal szkół, metod i systemów, znajdują się przedstawiciele jednej i drugiej kategoryi.

Najchętniej malują oni rzeczy sportowe, oraz mniej lub więcej rozebrane kobiety. Ale ta nagość niewieściego ciała, która pod pędzlem Tycyana, Corregia lub Rubensa zachwyca blaskiem i potęgą najpiękniejszego dzieła przyrody, u tych służebników konwenansu drobnieje, brzydnie estetycznie i wykrzywia się nakształt popiersia milońskiej Wenery, kopiowanego przez ucznia szkoły rysunkowej.

Nie jest to nagość greckiego Olimpu, ani nawet spartańskiej łaźni — lecz raczej: sekretnego oddziału przy gabinecie figur woskowych, kędy niedorostki z większym garną się zapałem, niż ludzie dojrzali i dokąd artysta oraz człowiek z artystycznemi upodobaniami nie daliby się wciągnąć nawet przemocą.

Zresztą ta rozebrana kobieta, na obrazach szkoły szykownej, nie pojawia się nigdy w otoczeniu prostem, któreby uwagę patrzącego na nią tylko samą zwracało. Przeciwnie; dowcip artysty, idąc w zawody z dowcipem tapicera i dekoratora, obstawia ją całym składem: mebli rzeźbionych i wyściełanych, portyer i dywanów, świeczników złoconych i luster w kosztownych ramach, majoliki i porcelany, brązów i kryształów — słowem, czyni ją składową cząstką jakiegoś sklepu ozdobniczego, w którym wydaje się ona takim samym gracikiem do sprzedania, jak wszystko, co ją otacza...

O prawdę anatomiczną i kolorytową, o studya bezpośrednie i poszanowanie natury, w malowidłach takich nie pytajcie. Są one obliczone wyłącznie na efekt i przypominają zawsze w mniejszym lub większym stopniu chromolitografowaną winietę.

Inny rodzaj szyku malarskiego polega na olśniewaniu niezwyczajnością, czyli poprostu: dziwactwem. Jeżeli kto wymaluje dziewczynę o fioletowych oczach, bladozielonej twarzy i żółtem jak glina ciele, jeżeli posadzi tę dziewczynę na czerwonej trawie i otoczy popielatemi kwiatami; jeżeli następnie wykroi swoje płótno w kształcie prostokąta wąskiego a wysokiego jak trzcina lub też długiego a niskiego jak parkan i oprawi je w olbrzymią ramę, czarną jak kir z katafalku — wówczas towarzysze, a za nimi publiczność orzekną go jednogłośnie „impresyonistą," malarzem pełnym zdumiewającej oryginalności i... szyku.

Trudno zaprzeczyć, że i prawdziwe talenty, dając niekiedy ucho syrenim hasłom chwili, składają drobne ofiary na ołtarzu tego nie naszego bałwanka; głównie jednak ucieka się pod jego opiekę wszelkiego rodzaju artystyczna nędza, podpierająca się blagą i zuchwalstwem.

Wiktor Gomulicki.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Grzeczności prawione wiekowi XIX. — Zarumieniony barbarzyńca. — Krwawa uroczystość wahabitów. — Nowy pierwiastek chemiczny *germanium* i jego własności domniemane. — Wniosek ks. Sapiehy o wzmocnieniu tym pierwiastkiem bronzu galicyjskiego. — Węzeł z cywilizacyą. — Dowody jego istnienia. — Lojalność niepokalana. — P. Olendzki, Ludwik XIV i ks. Bismark. — Pożegnanie.

Wiekowi naszemu zwykliśmy od czasu do czasu prawić takie grzeczności, że ten barbarzyńca w ucywilizowanym stroju aż spuszcza wstydliwie oczy i rumieni się. Nazywamy go szczytnym, zdumiewającym a nieraz samem jego imieniem oznaczamy epokę rozkwitu wszystkich wielkich idei ludzkości. Ktoś zagrzązł w przesądach, dopuścił się okrucieństwa, popełnił gwałt— wołamy: i takie to czasy dzieją się w XIX wieku! — jak gdyby ten wiek był ojcem najszlachetniejszych tworów — on — z maczugą w ręku, a szkaplerzem na piersiach. Dziwną jest duma jego synów! Łowią oni w życiu ludów dzikich wypadki jaskrawe i obyczaje nieokrzesane, cofają się wstecz o tysiące lat dla wyszperania cudactw, polują u ludów zatamowanych w swym rozwoju na *curiosa*—i potrząsają tem wszystkiem urągliwie przed majestatem swego stulecia, jak gdyby ono płoniło się w blaskach słonecznych i nie nurzało nigdy w błocie. Za dziennikiem angielskim *Globe* gazety nasze powtarzają opis krwawej uroczystości wahabitów w Konstantynopolu, na pamiątkę rocznicy śmierci głównego założyciela tej sekty Husseina. Oto jeden z ustępów tego widowiska:

„Około 100 ludzi ubranych biało, z ogolonemi głowami, wpadło na plac, a wziąwszy się za ręce, utworzyli koło i zaczęli kiwać się ku środkowi, krzycząc: jedni — „Hassan," drudzy — „Hussein." Roznamiętniając się stopniowo tym wrzaskiem i krzykiem, wpadli nakoniec w szał prawdziwy, dobywszy szabel, zaczęli się rąbać wzajemnie w głowy i plecy, aż ciało kawałkami odpadało a krew lała się strumieniami ze straszliwych ran. Dwa razy obiegli plac, siekąc się w ten sposób, krzycząc i wyjąc okropnie. Ci, którzy jeszcze mogli ustać na nogach, ustąpili, a na ich miejsce pospieszyli ludzie z łańcuchami, także krwią zbroczeni, którzy tak samo obiegli plac dwukrotnie; za nimi postępowały dzieci, śpiewając hymny. Potem znowu księża rozpoczęli swoje modlitwy..."

Nie przeczę, że do takiego libretta trudno dorabiać muzykę przyszłości, ale niech się niem nie oburza wiek XIX. Ten jegomość pozwala urządzać ludziom daleko dziksze i wstrętniejsze widowiska, które błogosławi jako „tryumfy cywilizacyi." Dziennik angielski wzdryga się i oburza na sfanatyzowanych wahabitów; czyż istotnie zapomniał, jak jego szlachetni rodacy uśmierzali powstanie w Indyach, czyż... Et, po co te wymówki, alboż okrucieństwo jest tylko rzadko zdarzającą się epilepsyą wieku XIX. Przecież to jego zdrowie, stan normalny, czasem nawet duma — objaw potęgi. Przejrzyjmy akta roku ubiegłego, tego grzecznika konającego w zgryzotach sumienia.

Ks. Adam Sapieha uznał, że bronz galicyjski nie posiada należytej mocy i że trzeba go zasilić domieszką *germanium*. Przedstawił więc sejmowi wniosek pomnożenia godzin nauki języka niemieckiego w szkołach średnich. Propozycyę tę żywioły zachowawcze oklaskały, *Czas* krakowski, zaznaczywszy, że francuszczyzna śród polaków osłabła, z właściwą mu bezczelnością stanął na kupce swego własnego głupstwa i wyrzekł uroczyście, że „ję-

zyk niemiecki jest *ostatnim już* węzłem, łączącym nasze społeczeństwo (czyli — jak to powiedział Franzos — nasze *Halbasien*) z wielkim światem naukowym i z wielką zywilizacyą zachodnią." Łatwem było do przewidzenia, że niemcy austryaccy ustrugają marchewkę galicyanom: a widzicie, po co opieraliście się upaństwowieniu niemczyzny, kiedy my tego żądaliśmy? Na to odparł ks. Sapieha: „Stosunki zmieniły się. Teraz zapatrujemy się na tę sprawę przedmiotowo..."

I ja patrzę na tę sprawę „przedmiotowo." Jakkolwiek mniej niż humorystycznem wydaje mi się twierdzenie *Czasu*, bo niemczyzna nie jest „już ostatnim węzłem, łączącym nasze społeczeństwo z wielkim światem naukowym i wielką cywilizacyą zachodnią," przyznaję jednak w zasadzie, że każdy obywatel z samych względów praktycznych powinien znać język państwa, do którego należy. Ale czy galicyanie nie znają dostatecznie niemieckiego? Każdy z nich może mi odpowiedzieć: jegomość, oddalony i przegrodzony od nas, nie możesz tu być sędzią. Słusznie. Ale zarazem raczcie mi łaskawie wyjaśnić, szanowni panowie, co znaczy cały wasz język galicyjski, w którym ciągle spotykamy takie wyrażenia, jak: systować, przydzielać, obsyłać, robić kogoś uważnym na coś, tenor (treść), szkoły trywialne itp., co znaczy germanizmami nadziana mowa ludu? Zdaje mi się, że ks. Sapieha zrozpaczył za wcześnie.

W tych dniach redaktor *Słowa* miał proces: przyjmując całą winę pomieszczenia pewnego artykułu na siebie, wyrzekł do sądu: „rozkazy moje *muszą* być w redakcyi *bezwarunkowo* wykonywane. W zarządzie kierunkiem gazety nie dopuszczam *żadnego parlamentaryzmu* i rządzę redakcyą tak absolutnie, jak Ludwik XIV Francyą." Mąż ten Bismarkowskiego kroju i szczerości powinien był, przynajmniej przez wzgląd na swych kolegów, powiedzieć, że rządzi tak *Słowem* jak rząd austryacki Galicyą, co na jedno by wyszło, a nie nasuwałoby wspomnienia o szpicrucie, która może świstać nad uszami senatu redakcyjnego, ale nie potrzebuje być wiadomą ogółowi. Są jeszcze ludzie skromni. Ks. Bismark oświadczył rozśmieszonemu parlamentowi: „meine Herrn, wie ich lache, wenn Sie nicht dabei sind," p. Olendzki zaś tylko: „rządzę redakcyą tak absolutnie, jak Ludwik XIV Francyą." Jest różnica — i w osobach i w ich śmiałości — prawda Lamie? Ach, on już umarł! Prawda Prusie?

Ostatni raz z wami mówię, szan. czytelnicy, w tym roku. Czy się spotkamy w następnym? Wielu z Was słucha mnie od lat sześciu — i dawniej. Starzy to i serdeczni znajomi, wierni przyjaciele pisma, które popierali wytrwale. W zamian za tę przyjaźń długoletnią należałoby im przy końcu roku przesłać zwyczajowe życzenia.....

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Kto ma płacić rogatkowe za przybycie nowych obywateli ubogich. — Dobre chęci *Kaliszanina*.— Jeszcze Starachowice. — Oszczędność w kopalniach węgla. — Monopol na drzewo w pow. częstochowskim. — Echo lubelskie.

Oddać należy tę sprawiedliwość lekarzom, że napracowali się dosyć nad swoją etyką, podczas gdy prawnicy ledwo zdobyli się na ułożenie kwestyonaryusza, który dotąd podobno bez odpowiedzi pozostał, a dziennikarze, artyści, ziemianie mało dotąd kłopotali się nawet postawieniem pytań. A przecież i lekarze do tego dojść nie zdołali, aby drażliwości stosunku ich z publicznością jasno obustronnie były oceniane. Dowodem polemika między lekarzem a właścicielem domu, która się przez kilka numerów *Dziennika łódzkiego* toczyła. Poszło o położnicę, żonę biednego człowieka, do której wezwany lekarz, udzieliwszy pomocy, zażądał 5 rs. zapłaty. Właściciel domu, który lekarza wezwał, ofiarował tylko 3 rs. za pracę około ubogiej lokatorki i nowoprzybyłego na świat lokatora. Szło tedy o dwa ruble, z powodu których lekarz oświadczył, że jako „wolnopraktykujący" nie ma obowiązku pomagać w podobnych razach bezpłatnie, gdyż od tego są inni, przez rząd płatni; w pole go wyprowadzono, nie uprzedzając, że chodzi o danie pomocy biedakom; kto stara się o połóg, musi uskładać coś na czarną godzinę, bo wielu chorób nie można uniknąć, ale połogu — można; kto się zdobył na pożyczenie trzech rubli, mógł się zdobyć i na pożyczenie pięciu; kwota powyższa nietylko jest wynagrodzeniem za naukę i pracę, ale także za ubranie zniszczone przy czynności; uratowanie życia ludzkiego, choćby najnędzniejszego, zawsze jest warte więcej, niż 5 rs., wreszcie śmieszni są filantropowie z cudzej kieszeni, którzy obowiązek ofiarności składają zawsze na lekarza." Usłyszawszy to wszystko, właściciel nic nie miał pilniejszego, jak osmarować pana konsyliarza w gazecie, za czem poszły repliki i dupliki. Gdy zapytamy teraz: kto winien w tem niemiłem zajściu? — tedy przedewszystkiem uderzy nas, iż zarówno właściciel, który ofiarował 3 rs., jak i lekarz, który przyjął o 2 rs. mniej, niż podług swego przekonania zarobił, ponieśli ofiarę bardziej lub mniej dobrowolną. Bezwątpienia żaden z nich nie miał podstawy ani prawnej, ani logicznej do żądania ofiar od drugiego, gdyż właściciel domu nie jest obowiązany ponosić kosztów kuracyi swych ubogich lokatorów, a lekarz nie może być zmuszanym do pracowania darmo lub napół darmo — pod karą wytykania go w gazetach. Trudno również zgodzić się na rozstrzyganie sprawy z tego stanowiska, że „kto stara się o połóg, musi coś uskładać na czarną godzinę." Zapewne, nie uskładać zapasów, jest lekkomyślnością. Czy jednak za zbrodnię tę godzi się skazywać na karę śmierci dwie osoby, matkę i dziecko? Teorya „unikania połogów" zakrawa na żart i okrutny i nieprzyzwoity, jeśli ją ktoś zechce wykładać nędzarzom. Statystyka i doświadczenie codzienne przekonywają, że najuboższe warstwy są najmnożniejsze, a przyczyn tego zjawiska nie usuniemy deklamacyami lub dowcipkami. Liczy się z niem więcej lub mniej dobroczynność publiczna, na którą też bezwątpienia słuszniej daleko niż na barki jednej klasy — lekarza — spadać powinno brzemię dopomagania w krytycznych przejściach. Dotychczasowy rozwój zakładów filantropijnych w Łodzi, zapewne coś jeszcze w tym względzie pozostawia do życzenia i obaj panowie, którzy się zajęli biedną rodzącą, powinni byli zapał swój zwrócić do uzupełnienia braków tak dla nich w tym razie dotkliwych, zamiast nawzajem częstować się niesmacznemi korespondencyami w *Dzienniku łódzkim*.

Do filantropii publicznej odwołuje się *Kaliszanin* w interesie biednych dzieci, popychanych przez rodziców do żebraniny. Pismo rzeczone uważa, że szczupłość środków nie pozwala Kaliszowi założyć dla takich dzieci przytułku, ale koszykarstwo, plecenie mat i słomianek nie wymagałoby ani wielkich funduszów, ani zbytecznych wysiłków, a właśnie byłoby najodpowiedniejszem zajęciem dla małej rzeszy, któraby zadowalała się zarobieniem choć kilku groszy, nawykałaby do pracy i zyskiwała przeświadczenie, że daleko pewniejszy jest grosz zarobiony, aniżeli upokorzeniem i pogardą zdobyty.

Miłe złudzenia! Żebranina daje dziatwie zysk większy niż praca, bo i rodzicom okrawa się lwia część z użebranych pieniędzy i dzieci pożywią się, a przytem użyją przyjemności swobody i próżniactwa. Zakład, jakiego *Kaliszanin* żąda, droższy jest od przytułku, bo jednocześnie jest przytułkiem i szkołą rzemieślniczą. Doświadczenia, we Francyi robione, przekonały, że taniej i lepiej jest oddawać podobne dzieci z wielkich miast na wieś lub do miasteczek i tam u rzemieślników umieszczać, zdala od gorszącego wpływu rodziców. Jedno i drugie rozstrzygnięcie związane jest z kwestyą usuwania rodziców niegodnych od opieki nad dziećmi.

W poprzednim feljetonie wspominałem o smutnych stosunkach między robotnikami w zakładach górniczych towarzystwa akcyjnego „Starachowice" a dyrekcyą tych zakładów. Nowe i ciemniejsze barwy dorzuca korespondent *Gazety radomskiej*. Zakłady owe upadają, robotnik ubożeje, zniechęca się i demoralizuje, urzędnicy, o ile jeszcze się trzymają, żyją z dnia na dzień, przygnębieni, wyglądając chwili, w której z rodzinami opuścić będą musieli miejsce długoletniej pracy. Zawiadowcom pod groźbą dymisyi zabroniono wyjawiać statystyczne dane, dotyczące teraźniejszej produkcyi...

Z kopalń węgla w Dąbrowie przynosi *Tydzień* piotrkowski wiadomość o zaprowadzeniu oszczędności, polegających na tem, że administracya nie daje robotnikom dostatecznej ilości drzewa do podstemplowania, nadto trzyma za mało nadzorców, robotnicy tedy nie pilnowani, chcąc sobie zarobku przysporzyć i uniknąć kary ustanowionej za niewydobycie przepisanej ilości węgla, podcinają filary węglowe u dołu, przez co wprawdzie odrazu po 100 korcy materyału tego otrzymują, lecz osłabiają sklepienia i powodują zasypanie. Takim sposobem w d. 26 z. m. zginął 20-letni robotnik Leon Rak. Czy po nieszczęśliwym nie została rodzina, któraby się upomniała o krzywdę?

Kraj nasz, zmniejszając ciągle przestrzenie leśne, dąży do podniesienia cen drzewa. Spotykaliśmy się w publicystyce ze zdaniami, usiłującemi dowieść, że dążenie takie zgodne jest z interesem posiadaczy majątków. Argumentacya była prosta. Przestrzeń, na której zasiano jakiekolwiek zboże, rodzi plony, przynoszące większy daleko czysty dochód pieniężny, niżby dała w razie obsiania jej lasem. Wyjątek stanowiłyby tylko nieużytki, o ileby las ich porosnąć zechciał. Jeśli zaś krajowi, miastu, gminie las jest potrzebny—mówią zwolennicy tej teoryi — niech sobie kraj, miasto, gmina zakupuje obszary odpowiednie i na własny koszt je zalesia, niesłuszne zaś są pretensye do właściciela prywatnego, gdy ten, dla własnej korzyści, karczuje las i grunt na pole orne zamienia.

Nie wdając się obecnie w rozbiór powyższych poglądów, zaznaczę za *Tygodniem*, że powiat częstochowski już wysokie zrobił postępy na drodze podnoszenia dochodu z drzewa. Majątki tameczne ogołociły się z lasów i teraz materyał budowlany kupuje się po bardzo wysokich cenach z dóbr kłobuckich, należących do hr. Henkla v. Donnersmarka i posiadających jeszcze rozległe przestrzenie leśne. Do niedawna były też i lasy rządowe. Gdy jednak drzewo z nich często defraudowano, przeto rząd postanowił je sprzedać przez licytacyę. Administracya dóbr kłobuckich, pragnąc zachować sobie monopol handlu drzewem, zakupiła wszystkie sprzedawane poręby za cenę trzykroć wyższą nad szacunek. Rzecz jasna, że następstwa takiego obrotu sprawy najwięcej dadzą się we znaki drobnej własności, której nie stać na zapuszczenie części gruntów pod las i która niełatwo

też zdobędzie się na jakieś zbiorowe w tym kierunku usiłowania.

Ciężkie bo są wogóle stosunki w piotrkowskiem. Dowodu wymownego dostarcza przednoworoczna odezwa *Tygodnia*. „Znakomita większość“ jego prenumeratorów żąda przesyłania pisma na kredyt, a następnie — nie płaci. Redaktor i wydawca, p. Mirosław Dobrzański, oświadcza, że gdyby miał rękojmię większego rozwoju i szerszej poczytności *Tygodnia* w innych rękach, to chętnie odstąpiłby swoich praw. Tymczasem zaś widzi przed sobą trzy wyjścia: albo czytelnicy pospłacają zaległości i nadal regularnie płacić będą, albo wydawnictwo upadnie, albo cena jego (z przesyłką 4 rs. 40 k. rocznie) będzie podniesiona. *Tydzień* ma w swojej gubernii bardzo groźnego współzawodnika w *Dzienniku łódzkim*, który wprawdzie jest 3 razy droższy i traktuje przeważnie sprawy przemysłu i handlu, ale w tym specyalnym kierunku bardzo starannie jest redagowany.

P. Bogusław Wydżga, głośny z ofiarowania na gimnazyum realne w Lublinie po groszu z morga przez lat 10, wystosował do *Gazety lubelskiej* list, w którym oświadcza, że „dopełniwszy obowiązku obywatela kraju,“ czuje się w prawie „zapytać, żądając odpowiedzi stanowczej: na jakich zasadach i pewnikach odezwała się redakcya tego pisma do publiczności o otwarciu gimnazyum realnego a tym sposobem pobudziła ją do ofiarności“ — gdyż dosyć długie milczenie ze strony redaktora każe „domyślać się różnych kwestyj...“

Cóż na to redakcya *Gazety lubelskiej*? Ha, wydrukowała zapytanie, uczynione w tonie dosyć impertyneckim i nie opatrzyła go ani jednem słówkiem od siebie.

Było to — pewnego razu.
Stał stał się cud.
Dziad przemówił do obrazu,
A obraz ani wyrazu —
Dziwił się lud.

K. Zbrucki.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Tygodnik ilustr. zamieściwszy serdeczne pożegnanie i rozstanie się Jenikego z czytelnikami, ogłosił, że kierownikami tego pisma będą pp. Korotyński i Czapelski. Poważną niewątpliwie rękojmię dla przyszłości *Tygodnika* przedstawia p. W. Korotyński, literat starty w młynie pracy dziennikarskiej, ale ukształcony, zdolny, sumienny, gruntowny znawca literatury i troskliwy piastun czystości języka.

Kalendarze. Dla ludu przygotowano aż dwie tego rodzaju książki. Promyk wydał swego *Gościa*, a p. E. Koliński *Strzechę rodzinną*. Oba kalendarze bardzo starannie opracowane i jednym duchem religijności owiane, zawierają dużo pożytecznych objaśnień i utworów pouczających.

P. F. Kwaśniewski obdarzył radomian kalendarzem humorystyczno-ilustrowanym p. t. *Radomianka*. Jest to zbiór rymowanych i nierymowanych żartów, których dostarczyły pióra współpracowników humorystyki warszawskiej. Pereł nie ma — perłowej masy trochę.

Filie banku włościańskiego, podług pism rosyjskich, mają być z początkiem roku przyszłego otwarte w niektórych guberniach Królestwa.

Pokłady węgla kamiennego znajdować się mają, zdaniem specyalistów, w Będkowie (powiecie będzińskim). Poszukiwania prowadzą się.

Opiekę troskliwszą zaczęli nad robotnikami rozciągać fabrykanci łódzcy. Jeden z nich postanowił przy swych zakładach otworzyć szkołę dla dzieci, inny ustanowił nad nieletnimi osobnego dozorcę, któryś otwiera kasę oszczędności dla swoich robotników, kilku poddało cały personel fabryczny powtórnemu szczepieniu ochronnemu z powodu grasującej ospy.

Stacya klimatyczna otwartą będzie zapewne w roku przyszłym w Ojcowie przez d-ra Olechnowicza (z Lublina), który otrzymał już pozwolenie władzy i układa się z właścicielami doliny Ojcowskiej o nabycie odpowiedniego kawałka gruntu.

Zapis zmarłego Sikorskiego na stypendya w uniwersytetach warszawskim i petersburskim oraz dla kobiet, kształcących się w Warszawie, uzyskał zatwierdzenie rządu.

Kiermasz w Warszawie, na rzecz Towarzystwa dobroczynności, dobiegł końca. Przez 13 dni zwiedziło go około 23,000 osób.

Kredyt. Częstochowa zamierza starać się o założenie Towarzystwa kredytowego miejskiego.

W Pułtusku powstaje lombard prywatny.

Dobra puławskie, należące niegdyś do ks. Czartoryskiego, miały z daru swego właściciela trzy kasy pożyczkowe, po których zwinięciu fundusze złożone były w Banku Polskim, a dziś są w depozycie kantoru Banku państwa i wynoszą kilkanaście tysięcy rubli. Mieszkańcy dóbr wspomnianych (Nowej Aleksandryi), popierani przez władze administracyjne, starają się, aby kapitał ten, jako ofiarowany na cel publiczny, powrócił do swego przeznaczenia. Izba skarbowa zaś rości do tego funduszu pretensye w imieniu skarbu, który dziś jest właścicielem Nowej Aleksandryi.

Liczba zabójstw, ciągle rosnąca, zwróciła uwagę władzy prawodawczej, jak donosi *Russ. Kur.* Ma być wzbronione ogłaszanie szczegółów morderstwa przed sprawą, sądzenie odbywać się ma przy drzwiach zamkniętych, kara robót ciężkich zastąpiona samotnem zamknięciem, a general-gubernatorom pozostawione będzie prawo oddawania morderców pod sąd wojenny.

Monety srebrne przedziurawione nie są przyjmowane przez kantory Banku Państwa w Moskwie i Kijowie, gdyż rosnąca liczba takich uszkodzeń pozwala przypuszczać umyślne wyrywanie cząstek srebra na posrebrzanie itp.

Ludność żydowska w gub. lubelskiej wzrosła o połowę od r. 1871 do 1885 i dziś stanowi piątą część ogólnej cyfry mieszkańców gubernii. W Lublinie połowa ludności składa się z żydów.

Proces. P. Ryszard Puciata, dyrektor kolonii nieletnich przestępców w Studzieńcu, pełniący swe obowiązki od 15 czerwca r. z. do 22 kwietnia r. b., uważając, że został od pełnienia rzeczonych obowiązków uwolniony niesłusznie, pozwał zarząd Osad rolnych do sądu okręgowego i żądał, aby dymisya jego uznana została za nieprawną i aby zarząd zmuszony został do utrzymania zawartej umowy, lub do zwrócenia mu szkód i strat. Zarząd wniósł ekscepcyę niewłaściwości sądu, dowodząc, że Osady rolne są instytucyą państwową, dyrektor przeto jest urzędnikiem, który nie zawiera umów dobrowolnych, lecz otrzymuje nominacyę lub dymisyę od zarządu na ogólnych zasadach służby rządowej; że tedy pretensya powoda, wynikająca ze stosunku podwładnego urzędnika do zwierzchności nie ulega kompetencyi sądowej. Sąd okręgowy, ale podzielając tych wywodów, uznał się właściwym do rozstrzygania sporu. Prokuratorya wszakże, działająca przez swego obrońcę p. Janiszewskiego w imieniu zarządu, odwołała się do specyalnego kompletu Izby sądowej, która nie zgodziła się z motywami pierwszej instancyi i uznała, że sąd nie jest władny do stanowienia w pomienionym sporze. Tym sposobem orzekła, iż Osady rolne są instytucyą nie prywatną, lecz rządową, a służący tam oficyaliści urzędnikami państwowymi.

Z prasy. *Pszczoła* uzyskała pozwolenie rozszerzenia programu przez włączenie artykułów z ogrodnictwa, rybołówstwa i hodowli jedwabników i wychodzić będzie co pół miesiąca, zamiast co miesiąc.

Ukazały się pierwsze numery czasopism: *Życie* i *Przemysłowiec*.

Gazeta przemysłowo-rzemieślnicza rozesłała prospekt ilustrowany z zapowiedzią ulepszeń.

Lista sprzedarzy przymusowych, ogłoszona w jednym z ostatnich numerów *Deutsche landw. Presse*, obejmuje trzy tylko majątki na cały obszar państwa pruskiego, wystawione na sprzedaż w ciągu jedne go tygodnia. Lecz wszystkie trzy leżą w poznańskiem i są własnością polaków: dobra Zającykowo P. Libelta, Wojciechowo T. Golskiego i Zalesie L. Jaroszewskiego.

Komisya kolonizacyjna w Poznańskiem ma podobno rozparcelowywać ziemię pomiędzy kolonistów o tyle zasobnych, iżby własnym kosztem stawiali budynki, tudzież zaopatrywali się w inwentarz żywy i martwy.

Matejko wymalował obraz, przedstawiający wręczenie dokumentu erekcyjnego akademii Lubrańskich, założonej w Poznaniu przez biskupa Lubrańskiego i ofiarował tę pracę jednemu z dostojników kościoła w Poznaniu.

Biura pracy, urządzone w Anglii podług wzoru danego w lutym 1885 r. przez miasto Eghem, działają z wielkiem powodzeniem. Koszt urządzenia i utrzymania takiego biura nie dosięga 80 rs. rocznie (8 fst.).

Połączenie morza Śródziemnego z zatoką Perską kanałem dochodzącym do kotlin Tygrysu i Eufratu, zaprojektował francuz inż. Ende. Projekt rozbierany był w paryskiej Akademii umiejętności.

Obok Suezkiego drugi kanał zamierzają przekopać anglicy pomiędzy morzem Śródziemnem a Czerwonem, spożytkowując odnogę Nilu, płynącą na zachód Delty.

P. Orzechowski Oksza Tadeusz, rodem z Podola rosyjskiego, zawiązał, jak donoszą dzienniki francuskie, dwa wielkie przedsiębiorstwa. Jedno budowy telegrafu podmorskiego między Hiszpanią a przylądkiem Dobrej Nadziei; drugie, budowy kolei żelaznej przez środek Afryki, od Atlantyku, do oceanu Indyjskiego.

Zmarli. Spamer, znany wydawca encyklopedyi w Lipsku, robiącej Matejkę austryakiem, Siemiradzkiego rosyaninem, Trentowskiego niemcem i wogóle niechętnej polakom.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. A. R. Dzieło Hertzki godne jest przekładu, my go wszakże nie wydamy, a tem samem sprawdzać i oceniać tłomaczenia Pańskiego nie możemy, gdyż na to brak nam czasu.

P. Józefowi K. w Ostrożanie. Wszystkie wydane przez nas i Spółkę nakładową książki są wymienione w *Prawdzie*; stamtąd więc może Pan je sobie wybrać. Osobnego katalogu nie posiadamy. Marki pozostają do rozporządzenia Pańskiego.

P. Róż. w Moskwie. Instytucye Gaja zeszyt I i II kosztują z przesyłką rs. 1 kop. 10.

P. Z. S. w Permie. Atlas Schneidra w przekładzie Slosarskiego kosztuje z przesyłką rs. 2.

P. Wł. Str. O bankach likwidacyjnym i włościańskim tyle wiemy, ile gazety doniosły i w *Prawdzie* zaznaczyliśmy. Pierwszy ma być dotąd projektem, drugi będzie podobno wprowadzony wkrótce do Królestwa.

P. Stan. Domosławskiemu w N. Aleksandryi. Rs. 20 dla studenta weterynaryi z Dorpatu odebraliśmy.

M. Trz. Niech Pani się zwróci po bliższe objaśnienie do pisma, które ten artykuł zamieściło. Skądże my wiedzieć możemy? Słownik tylko Chodźki.

Echo Muzyczne, Teatralne i Artystyczne

jest tygodnikiem literackim, zamieszczającym nowelle, powieści, poezye, dramata, rozprawy estetyczne, życiorysy, sylwetki nowelistów, estetyków, malarzy, rzeźbiarzy, kompozytorów i wirtuozów muzycznych, artystów scenicznych, treści książek ze wszelkich dziedzin ruchu umysłowego, **podaje portrety osobistości współczosnej doby. W dziale nutowym**, dodawanym co 2 tygodnie w objętości 1 i pół do 2 arkuszy, stanowiących z końcem roku zbiór 60 arkuszy nut, wartujących według katalogu rubli 10, podaje: utwory salonowe, koncertowe, pedagogiczne w łatwiejszym i trudniejszym układzie na fortepian, skrzypce, głosy solowe, dueta, chóry, potpourri z oper, operet, wyjątki z oratoryów, symfonie etc. Utwory taneczne (te ostatnie przegląda i wybiera L. Lewandowski); dodatek nutowy wybierany jest starannie przy pomocy artystów muzycznych i profesorów. Część muzyczna pod redakcyą Jana Kleczyńskiego. W tekście pisma przyjmują udział najwybitniejsi pisarze.

Abonujący **Echo** na cały rok 1877 bezpośrednio w Redakcyi, mają prawo wyboru

bezpłatne premium

jednego z trzech poniższych:

1) Wszystkie symfonie i sonaty Beethovena na 2 i 4 ręce w 3 tomach.

2) Album tańców zebrane przez L. Lewandowskiego, a składające się z 12 najnowszych tańców, ozdobione winietą rysunku *Franciszka Żmurki*.

3) Kompletne jubileuszowe wydanie dzieł J. I. Kraszewskiego w 15 tomach, to ostatnie za dopłatą tylko 1 rubla.

Na przesyłkę premij dołączać należy: za Nr 1 i 3 po rs. 1,50, za Nr. 2 kop. 75.

Cena prenumeraty **Echa** łącznie z dodatkami nutowemi wynosi:

	w Warszawie	*na prowincyi*
kwartalnie	Rs. 2	Rs. 2.50
rocznie	„ 8	„ 10.—
z premium dzieł Kraszewskiego	„ 9	„ 12.50
„ Album tańców . .	„ 8	„ 10.75
„ „ Beethovena .	„ 8	„ 11.50

Adres Redakcyi: Senatorska 26, Warszawa.

Na Gwiazdkę!

„ŚWIATEŁKO"

KSIĄŻKA DLA DZIECI

napisana zbiorowo przez

Grono Autorów Polskich

najlepsza w tym rodzaju w literaturze polskiej. W ozdobnej oprawie, z drzeworytami w tekście. **Cena rs. 1 kop. 80.**

SZKICE i OBRAZKI

Bolesława Prusa (Aleksandra Głowackiego) tomów **cztery** z portretem autora.
Cena rs. 5.
W ozdobnej oprawie: **rs. 6 k. 20.**

SPÓŁKA NAKŁADOWA

poleca następujące wydawnictwa swoje:

Chmielowski Piotr dr. Autorki Polskie wieku XIX, studyum literacko-obyczajowe, ozdobione sześcioma portretami. str. 541 rs. 2 kop. 50.

Jerzy Brandes: Główne prądy literatury europejskiej XIX w. Tom V. Szkoła romantyczna we Francyi, z portretem autora str. 402 rs. 2.

Herbert Spencer: Zasady etyki, z 3-go wydania oryginału angielskiego przełożył Jan Karłowicz rs. 2.

Smoleński Władysław. Drobna Szlachta w Królestwie Polskiem, studyum etnograficzno-społeczne kop. 60.

Stanisław Kramsztyk: O postaci i ciężarze ziemi kop. 50.

Biuro i ekspedycya **Spółki Nakładowej:** Warszawa, Złota 23.

W Administracyi *Prawdy* złożono **do sprzedania** 1 egz. **Ogniska** w ozdobnej oprawie i tygodnik **Prawda** za r. **1881, 1882, 1883, 1884** (cztery tomy w oprawie) i r. **1885** (tom nieoprawny).

Ogłoszenie przedpłaty na

„KURYER CODZIENNY"

PISMO WYCHODZĄCE CODZIENNIE Z WYJĄTKIEM ŚWIĄT BOŻEGO NARODZENIA, WIELKIEJ NOCY I ZIELONYCH ŚWIĄT,

Z A Ł O Ż O N E w r o k u 1864.

„KURYER" obejmuje: Wiadomości urzędowe. Kronikę wiadomości miejscowych, prowincyonalnych, z Cesarstwa i zagranicy. Powieści, opowiadania i poezye. Życiorysy ludzi zasłużonych. Artykuły ekonomiczne, przyrodnicze, rolnicze, oraz dotyczące handlu i przemysłu. Sprawozdania i wiadomości z literatury i sztuki. Przeglądy polityczne i telegramy. Felieton. Kronikę sądową. Korespondencye z kraju i zagranicy. Wiadomości kościelne, giełdowe, targowe itp. W dodatku w formacie książkowym wychodzą:

POWIEŚCI NAJCELNIEJSZYCH AUTORÓW,

rocznie przeszło sześćdziesiąt arkuszy druku, czyli około sześciu tomów.

„KURYER" wychodzić będzie w roku przyszłym pod dotychczasowymi warunkami:

W miejscu:		**z przesyłką pocztową:**	
Miesięcznie . .	rs. — kop. 50	Miesięcznie . .	rs. — kop. 75
Kwartalnie . .	„ 1 „ 50	Kwartalnie . .	„ 2 „ 25
Rocznie . . .	„ 6 „ —	Rocznie . . .	„ 9 „ —

Za odnoszenie do domu dopłaca się 5 k. miesięcznie.

WYŁĄCZNIE TYLKO dla abonentów „KURYERA CODZIENNEGO" przysługuje prawo nabywania po cenie bezprzykładnie taniej, za tom **w miejscu 60 k.**, z przesyłką **pocztową 85 k.**, lub w zeszytach w miejscu po k. **10**, z przesyłką pocztową po k. **15**.

Encyklopedyi powszechnej tomów 13-cie,

MIESIĘCZNIE TYLKO TOM JEDEN.

Oraz znakomite dzieło BALIŃSKIEGO i LIPIŃSKIEGO, pomnożone i uzupełnione opisem Szlązka, przez F. K. MARTYNOWSKIEGO p. t.:

STAROŻYTNA POLSKA.

Zeszyt w miejscu **50 k.**, z przesyłką pocztą **65 k.** — Dotąd wyszło zeszytów 16.

Adres „Kuryera Codziennego": KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 66.

Departament Handlu i przemysłu St. Petersburg Nr. 1360.

Telegramy: Ritter Warszawa.

Broszurka bezpłatna — Gwarancya długoletnia

„EXSICCATOR"

Zabezpiecza **wszystko co z drzewa od gnicia**, niszczy **grzybek drzewny**, osusza **wilgoć** w starych domach i zabezpiecza **nowe. Dezinfekuje.** Zastępuje **olejną farbę** we wszelkich kolorach i **tańszy** od tejże o 50%

Inżynier RITTER, Warszawa, Królewska Nr. 39.

Telegramy: Ritter Warszawa.

Poszukuję agentów.

Nakładem **Prawdy** wyszło ilustrowane dzieło słynnego badacza angielskiego J. E. Taylora p. t.:

ZMYŚLNOŚĆ I MORALNOŚĆ ROŚLIN

w przekładzie J. K. Potockiego.

Książka ta, która liczy zaledwie parę miesięcy a już zapowiadaną jest w przekładach na kilka języków europejskich, w mistrzowski sposób, w niegwałcących ścisłości naukowej upodobnieniach stosunków roślinnych do ludzkich popularyzuje prawdy i najnowsze odkrycia botaniczne, otwierając najmniej przygotowanym nowy a uroczy świat zjawisk.

Treść: Przebiegłość kwiatów.— Ich dyplomacya.— Gra w chowanego.— Obrona nie zaczepka.— Współdziałalność.— Społeczne i państwowe gospodarstwo roślin. — Ubóstwo i bankructwo. — Rabunek i morderstwo. — Odwrotna strona medalu. — Geograficzne rozpowszechnienie roślin.

Cena (w gustownej oprawie) rs. **2**; dla abonentów naszych, rs. **1** k. **50**.

Zwracający się z żądaniami bezpośrednio do naszej Administracyi kosztów przesyłki pocztowej nie ponoszą.

Zarząd Wystawy hygienicznej w Warszawie, podaje do wiadomości, że deklaracye osób pragnących przyjąć udział w Wystawie, przyjmują się codziennie od godz. 10 do 3 i od 5 do 7 w biurze wystawy w gmachu Magistratu.

Regulamin, program i blankiety na deklaracye będą wysyłane na żądanie.

Student uniwersytetu

poszukuje korepetycyj, lub innego odpowiedniego zajęcia. Może również udzielać początków niemieckiego i francuskiego. Oferty pod literami **W. W.** składać można w redakcyi **Prawdy.**

Nakładem Prawdy

wydana została i jest do nabycia książka p. t.:

MĘCZENNICY MYŚLI.

Cena **rs. 1.** (wraz z przesyłką pocztową).

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 11 Декабря 1886 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. **A. Świętochowski.**